

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcyja i Administracyja: Lwów, ul. Antoniego Małckiego 3.

Administracyja otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

WYZWALANIE SIĘ LUDU.

Podszczywanie rządu i opinii publicznej na Polaków nie ustaje w prasie niemieckiej, chociaż o wypadkach, które do niego powód bezpośredni dały, prawie już zapomniano. Zjawiają się projekty środków wyjątkowych przeciw narodowości polskiej. Mówiliśmy już o tem i mówimy w innym miejscu szczegółowo, tu zaznaczymy tylko, że błędem jest mniemanie, przypisujące te napaści gwałtowne i wogóle zaostrenie stosunków wzajemnych między dwiema narodowościami jedynie propagandzie szowinistów niemieckich. Działalność podburzająca hakatystów jest tylko objawem znamienym tych prądów politycznych i społecznych, które ogarniają naród niemiecki i porywają rząd. Nawet niektórzy Niemcy dochodzą zaczynają do przekonania, że napaści na żywioł polski są zarazem zamachem na prawa polityczne ludu, że opócz celu głównego, którym jest zagłada narodowości polskiej w państwie pruskim, dostrzedz dziś już można cel uboczny — zwycięstwo dążeń reakcyjnych. Nie będziemy rozstrzygać; czy i o ile zdanie to jest uzasadnionem, ale podkreślimy fakt niewątpliwy, że wzrost świadomości narodowej w masie ludu polskiego, widoczne jego postępy we wszystkich dziedzinach działalności społecznej są główną przyczyną wzmagającej się zawziętości niemieckiej.

Dobrze rozumie to prasa polska w zaborze pruskim, zwłaszcza prasa ludowa. Zaleca ona ludowi zimną krew i oględność, ale równocześnie zachęca go do wytrwałej i gorliwej obrony praw swoich na drodze legalnej. »Pokażmy że jesteście spokojni, lecz wiemy co się nam należy« — powiada *Katolik* górnośląski. »Niech sobie każdy z góry powie, że tak być musi, że każda dobra sprawa trafia na przeszkodę. Hasłem zaś naszym jest: dalej naprzód za świętą sprawę ludu polskiego«. W podobny sposób przemawiają inne pisma śląskie, wielkopolskie i zachodnio-pruskie, tłumacząc ludowi, że ostrożne zachowanie się nie oznacza wcale bierności i usuwania się z życia politycznego. Teraz właśnie powinien lud gorliwiej jeszcze niż poprzednio garnąć się do towarzystw, »trzymać się kupy aby zwartym szeregiem wywalczyć sobie to, co nam się należy, bronić praw swoich w każdym wypadku i przy każdej sposobności«. Róbmy wszystko spokojnie i zgodnie, ale żądajmy naszego prawa wytrwale i stanowczo — oto hasło walki, które rozbrzmiewa we wszystkich pismach ludowych.

Nie legalizm, często nawet przesadny i zbyteczny, nie oględność i zimna krew, ale ta męska śmiałość wobec niebezpieczeństwa, nakazująca wzmocnić energię odporu, ta wytrwałność, nie znająca obawy, ten spokój, który jest najlepszym wyrazem siły i samowiedzy narodowej,

świadczą wymownie o dojrzałości, o zmyśle i wykształceniu politycznym ludu polskiego w naszej dzielnicy zachodniej. Daje on obecnie znakomitą lekcję rozumu politycznego tym przewodnikom inteligentnym, którzy n. p. w zaborze rosyjskim po każdym nowym zamachu rządu na prawa narodu polskiego zalecają cofanie się ze stanowisk zagrożonych, ograniczenie dążeń zbiorowych i zupełną bierność wobec usiłowań wrogich.

Lud polski w państwie pruskim, zwłaszcza w Prusiech Zachodnich i Wielkopolsce, ma już dłuższą praktykę życia publicznego, aniżeli lud, a nawet t. zw. warstwy inteligentne w innych zaborach. Nasza stuletnia walka narodowa praktyki tej nam dać nie mogła, bo inne miała zadania i cele. Tam, gdzie osiągnęliśmy poważne stanowisko, polityczne — w Austrii, wyniosła nas raczej na nie siła wypadków, pomyślny zbieg warunków, nie zaś nasza działalność własna, wytrwała i świadoma. Walczyliśmy nieraz za wolność narodową, ale nie znamy prawie wcale systematycznej walki o prawa i swobody obywatelskie. Galicya to, co dziś posiada, otrzymała od razu i właściwie nie wiele sama dla siebie zdobyła. Nie znaczy to wcale, że nic nie zrobiono dla utrwalenia i wyzyskania otrzymanych ustępstw. Przeciwnie, zrobiono bądź co bądź dużo, chociaż nie wszystko, co urzeczywistnić było można, ale nie zmienia to bynajmniej faktu, że nie wytworzyliśmy sobie sami w tej dzielnicy warunków bytu politycznego, tylko skorzystaliśmy z pomyślnych okoliczności i zajęliśmy stanowisko, które w danej chwili zająć było można. Czyśmy je umiejętnie wyzyskali — to sprawa sporna, przypuściwszy jednak, że tak jest istotnie, powiedzieć jedynie możemy, że wykazaliśmy zmysł i zręczność polityczną, ale ani dojrzałości politycznej, ani wykształcenia politycznego, które tylko długą praktyką się nabywa, społeczeństwo galicyjskie nie posiada. Nie może go też posiadać żadne stronnictwo, a może mniej niż każde inne ma go właśnie stronnictwo rządzące, które nie przygotowane wcale do działalności publicznej otrzymało bez walki przywilej polityczny. Nasze warstwy przewodnie mają jedno tylko doświadczenie polityczne — walki o prawa narodowe. W Galicyi zresztą to doświadczenie staje się coraz więcej błędną wspomnieniem, tymbardziej, że od lat trzydziestu mogliśmy brać to, co się nam należy, prawie bez oporu i z pewnością wzięliśmy nawet mniej, niżbyśmy wzięć mogli.

W zaborze pruskim walka o byt narodowy zespoliła się ściśle, niemal zlała się w jedno z walką o prawa i swobody polityczne. W Galicyi ta ostatnia teraz dopiero się zaczyna i niema wcale charakteru walki narodowej. Stronnictwo liberalno-demokratyczne, które do niedawna było jedynym tutaj stronnictwem polskim opozycyjnym, nie mające w warunkach społecznych szerszej podstawy, nie mogło walki tej

podjąć. Walczyło ono wprawdzie ze stronnictwem zachowawczem, ale chociaż wygłaszało hasła równouprawnienia społecznego, właściwie chodziło mu o udział we władzy, w przywileju rządzenia i kierowania społeczeństwem. Dopiero wzrost oświaty i świadomości narodowej i społecznej ludu nadał walce o rozszerzenie praw obywatelskich, o niezbędne swobody polityczne — znaczenie żywotne.

Byłoby zbyt cieżko opowiadać chociażby w ogólnych zarysach przebieg tej walki, o której czytelnicy nasi mają pojęcie dokładne, bo wszystkie ważniejsze w niej wypadki i znamienne jej rysy zaznaczaliśmy w naszym piśmie. Rozwiązywanie lub zakazywanie zgromadzeń ludowych, krępowanie wolności osobistej nie tylko zwyczajnych obywateli, ale nawet posłów, gwałcenie ustaw konstytucyjnych — przybrały takie rozmiary, że nawet Koło polskie pod naciskiem oburzonej opinii powszechnej musiało wnieść interpelację, zapytując rząd: »Z jakich powodów władze polityczne, wykonywując swój obowiązek strzeżenia publicznego porządku i spokoju, zamiast środków legalnych, chwyciły się zarządzeń, które nie odpowiadają zagwarantowanym konstytucją prawom obywatelskim«. Niezadowolony z tej, słabej zresztą i dwuznaczej interpelacji, poseł Lewakowski postawił nagły wniosek zbadania tych nadużyć i pociągnięcia winnych urzędników do odpowiedzialności. W mowie, wygłoszonej w Radzie państwa, wyliczył p. Lewakowski ważniejsze nadużycia i wezwał wszystkie stronnictwa, żeby w imię pogwałconej i zagrożonej wolności obywatelskiej wniosek jego poparły. Jakoż wniosek uzyskał większość głosów (116 przeciw 78), chociaż nie wystarczającą do uchwalenia go, ale zapewniającą mu powagę moralną. Ma się rozumieć. Koło polskie, z wyjątkiem kilku posłów, którzy umyślnie z izby wyszli, głosowało przeciw nagłości wniosku.

Czytelnik zapyta tu może: jaki jest związek między hecą antypolską w Prusiech a nadużyciami władz w Galicyi. Na pozór niema między tymi faktami nic wspólnego, ale przyjrząwszy się im dokładnie, znajdziemy nici niewidoczne, które je łączą i pozwalają mówić o nich w pewnym związku.

Dzienniki polskie obficie przytaczały głosy prasy niemieckiej z powodu zajścia w Opalenicy. Jeden z tych głosów — zdanie nieznanego z pewnością większości czytelników nawet z tytułu prowincjonalnego dziennika niemieckiego — zasługuje na szczególną uwagę: »Polacy w Galicyi sami najlepiej nas uczą, jak z nimi postępować należy«. Wiadomo, że prasa niemiecka, zwłaszcza wiedeńska, wyzyskuje zawsze stosunki galicyjskie przeciw Polakom. W walce o prawa polityczne w zaborze pruskim opinia publiczna pewnych warstw społeczeństwa niemieckiego może być niekiedy wcale pożytecznym dla nas sojusznikiem. Nie należy przeceniać znaczenia i wpływu tego czynnika w polityce, ale błędem byłoby lekceważyć go i nie liczyć się z nim wcale. Na wytwarzanie się opinii publicznej rozmaite wpływają okoliczności, zazwyczaj od nas niezależne, ale i to, co o nas myślą i mówią, tymbardziej jeśli myślą i mówią poniekąd słusznie — odgrywa dosyć ważną rolę.

Większe dla nas znaczenie mają stosunki galicyjskie ze względu na wpływ, jaki wywierają na opinie społeczeństwa polskiego w innych zaborach. »Okropne stosunki w tej Galicyi« wnioskuje umiarkowany dziennik poznański po przytoczeniu reskryptu starosty krakowskiego do posła Wójcika, a pisma ludowe powtarzają ten mimowolny wykrzyk. Dużo się u nas mówi, nawet w sferach zachowawczych o uświadomieniu na-

rodowym ludu, ale za mało pamiętamy o tem, że ten lud polski w Królestwie, a tymbardziej w Wielkopolsce na Śląsku i w całym zaborze pruskim patrzy na Galicyę, jak na kraj, w którym Polacy rządzą. Chłop wielkopolski lub śląski, robotnik fabryczny, rzemieślnik czytają gazety, z nich dowiadują się o stosunkach galicyjskich i z tych wiadomości o bezprawiach, nadużyciach, gwałceniu swobód obywatelskich wysnuwają wnioski. Jakie są te wnioski — odgadnąć łatwo.

Pisma ludowe w zaborze pruskim przy każdej sposobności nawołują czytelników do wytrwałej obrony praw swoich, wykazują nielegalne postępowanie władz niemieckich, budzą w ludzie poczucie godności obywatelskiej. Ale czytelnicy tych pism jednocześnie dowiadują się z nich, że w Galicyi, gdzie są rządy polskie, zasadnicze prawa i swobody obywatelskie — wolność słowa, zgromadzeń, stowarzyszeń nie są tak szanowane, jak pod panowaniem przemocy niemieckiej. Człowiek prosty nie obejmuje całości zjawisk politycznych, nie tłumaczy ich sobie koniecznością historyczną, nie uwzględnia warunków chwili; widzi fakty i na podstawie tych faktów rozumuje. Ze szczerem oburzeniem pisma miejscowe donoszą o zakazie śpiewania pieśni polskich podczas uroczystości »Wianków«, pochodu Sokołów przez ulice Poznania, przemówienia publicznego na jakimś obchodzie i t. d. Czytelnik, który oburzenie to podziela i przejmuje się niem do głębi duszy, naraz dowiaduje się, że policya we Lwowie zabroniła uczczenia pamięci Kilińskiego, nie pozwoliła na pochód z kościoła do miejsca gdzie stoi pomnik, na wygłaszanie mów, słowem na obchód publiczny, że w pobliżu pomnika sławnego szewca stał oddział agentów i żołnierzy, gotowych do rozpędzania publiczności, gdyby ta rozkazu władzy nie posłuchała. Kiedy pomimo surowego zakazu tłum zgromadzony na brzegu Warty zaśpiewał chórem pieśni patriotyczne, policya pruska nie rozpędzała nieposłusznych, nie ciągnęła ich brutalnie do aresztu, wytoczyła tylko proces kilku ludziom, którzy przygrywali śpiewakom, ale sąd pruski i tych nawet ludzi od kary uwolnił. Łatwo wystawić sobie, coby było we Lwowie, gdyby ci, którzy chcieli uczcić pamięć Kilińskiego, ruszyli gromadnie przez miasto, lub zaczęli wygłaszać mowy. Na szczęście nie było zajścia, któreby dowodnie pokazało Polakom z innych dzielnic, jak w Galicyi szanowaną jest godność ludzka i wolność obywatelska, ale nie brak faktów z przeszłości i chwili bieżącej, nadających się do zestawienia i porównania rządów niemieckich i rządów polskich. Dosyć porównać taktykę wyborczą w Prusiech i w Galicyi. I rząd, i wszyscy Niemcy, mający władzę i wpływy, wywierają nacisk na wyborców polskich. I tam dzieją się nadużycia, zdarzają się nawet fakty jawnego gwałcenia ustaw. Jakże jednak niewinnie wyglądają te bezprawia w porównaniu — nie z głośnemi nadużyciami, ale z normalną praktyką wyborów galicyjskich. O różnicy w traktowaniu zgromadzeń ludowych i stowarzyszeń dużo także fakty, powszechnie znane mówią.

Powtarzamy, chłop lub rzemieślnik nie rozumieją i rozumieć nie mogą tych »okoliczności łagodzących«, które człowiek inteligentny w pewnej mierze uwzględnić musi, nie zdają sobie sprawy z różnic ustroju państwowego, stosunków społecznych i t. p. Słyszą oni tylko o faktach, które porównują z tem, co znają z doświadczenia własnego, z czem mają styczność codzienną. Jak wypada, jak musi wypadać koniecznie porównanie — zaznaczyliśmy wyżej. W masie ludowej i nie tylko w tej masie, ale i w warstwach inteligencji, któ-

ra specjalnie polityką się nie zajmuje powstaje przekonanie, że rządy polskie nie są wcale lepsze niż rządy obce. Nie dosyć jednak tego, bo w umysłach prostych zjawia się myśl, że ucisk polityczny jest zjawiskiem normalnem, że inaczej być nie może, że trzeba pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy. Łatwo przedstawić sobie, ile złego wyrządzają, jak szkoda takie myśli wielkiej i trudnej niezmiernie pracy rozbudzania świadomości narodowej i politycznej ludu w innych dzielnicach. Podstawą tej pracy musi być żywe poczucie praw obywatelskich, przekonanie, że stosunki istniejące prawa te i godność ludzką gwałcą, że są one gdzieindziej, mogą być i powinny być inne. Przykład stosunków galicyjskich, jeżeli nawet nie utrudnia bezpośrednio uświadomienia narodowego, to przeszkadza politycznemu kształceniu ludu, które jest zadaniem równie ważnem. Nie dosyć bowiem żeby lud czuł swą polskość, żeby przeciwdziałał żywiołowo uciskowi narodowemu: powinien on rozumieć swe prawa polityczne, wiedzieć czego bronić i jak się bronić należy. W zaborze pruskim najskrajniejszy zachowawca polski pojmuje znaczenie doniosłe tych swobód politycznych, które na każdym kroku są poniewierane w Galicyi. One to właśnie pozwalają ludności polskiej, pomimo nierówności sił, prowadzić z niemczyzną walkę skuteczną, a każde ich rozszerzenie — to nowa zdobycz polityczna, to nowy oręż w tej walce.

Ludowe pisma polskie w zaborze pruskim tłumaczą pobudki wzmożonej zawziętości prasy niemieckiej. Oto co pisze *Katolik* w artykule, który wiele pism innych powtórzyło, solidaryzując się z nim całkowicie:

»Lud polski nie zaczepia nikogo, nie miesza się do spraw niemieckich współobywateli i nie przeszkadza im w niczem.

»Lecz to się nie podoba tym przeciwnikom ludu, którzy nie życzą sobie, aby lud się podniósł, aby polepszył swą dolę, aby się dorabiał. Ci ludzie spostrzegli, że oświata ludu polskiego rozszerza się za pomocą gazet i książek polskich. Widzą, że lud z tego powodu nabywa świadomości swych spraw państwowych i narodowych. Dlatego czują, że zbliża się chwila, w której lud dojdzie do takiego stopnia samowiedzy, że odtąd nie pozwoli się dalej tak wyzyskiwać materyalnie, jak to setki lat czyniono.

»Oto jest powód, dla którego krzyczą u nas niegodziwi ludzie i prawie wszystkie niemieckie i żydowskie gazety na gwałt. Ciągłe posądzają Polaków o niedozwolone rzeczy, jakkolwiek nie mają na to dowodów. Ciągłe podburzają na nas, jakkolwiek my nic złego nie czynimy. Ciągłe zakłócają spokój, którego my pragniemy. Gdyby poszło podług myśli niektórych niemieckich i żydowskich gazet, natenczas lud polski zostałaby pozbawiony wszelkich praw obywatelskich, które Polakom jako wolnym ludziom w państwie konstytucyjnym przysługują. Najmniejszy objaw życia ludowego poczytują nam za zbrodnię i denuncyją nas u władz«.

Gdyby w przytoczonym ustępie zmienić kilka tylko wyrazów, zamiast Niemcy powiedzieć Stańcycy, zamiast Polacy — chłopci, zamiast »gazety niemiecko-żydowskie« — pisma zachowawcze, możnaby pomyśleć, że jest to wyjątek z artykułu lub z przemówienia posła włościańskiego o stosunkach galicyjskich. To powinowactwo pomiędzy hecą, którą urządzają hakatyci a akcją polityczną żywiołów »ładu i porządku« w Galicyi silniej niż poprzednie uwagi uzasadnia zestawienie dwóch faktów, nic z pozoru nie mających wspólnego. I jedni i drudzy widzą, że »lud polski nabywa świadomości

swych praw państwowych i narodowych«, jedni i drudzy czują »że zbliża się chwila... kiedy lud nie pozwoli się tak dalej wyzyskiwać, jak to setki lat czyniono«, jedni i drudzy dążą do tego, żeby »lud polski pozbawiony został wszelkich praw obywatelskich, które wolnym ludziom w państwie konstytucyjnym przysługują« i uważają »najmniejszy objaw życia ludowego za zbrodnię«.

Nie idzie tu zresztą o porównanie, ale o zaznaczenie znamiennych rysów dwóch szeregów faktów, o których mówimy. Jest między nimi pewien związek który spróbowaliśmy wykazać i który nie my tylko widzimy.

Żyjemy w czasach, które, kiedyś w dziejach naszego rozwoju narodowego i społecznego ważne zajmą miejsce. Nadużywano nieraz wyrażenia o chwilach i epokach przełomu, nie będziemy go powtarzać w tym wypadku, lecz podkreślimy tylko, że najdonioślejszym dziś, najbardziej znamiennym objawem naszego życia zbiorowego jest wyzwalanie się polityczne ludu polskiego. Proces ten we wszystkich odbywa się dzielnicach, chociaż w każdej, stosownie do warunków miejscowych, w odmiennych objawia się formach i na różnych stopniach rozwoju się znajduje. Walka z uciskiem narodowym i polityką rządu spleta się z nim ściśle, stanowi część jego integralną w państwie pruskim, niemal wyłączonej treści w zaborze rosyjskim. Ale nawet w Galicyi, gdzie sprawa wyzwala się ludu jest w swych objawach realnych walką o prawa polityczne i równouprawnienie społeczne, ma ona wyraźny charakter narodowy, używając terminu zwykłego — patriotyczny. Inaczej zresztą być nie może. Rozbudzona świadomość polityczna wzmacnia, utrwała i rozjaśnia bezwiedne poczucie narodowe, walka z uciskiem narodowym, żywiej rozniecona, musi być jednocześnie walką o prawa polityczne, o wyzyskanie ich tam, gdzie ustroj państwowy pozwala, o zdobycie elementarnych podstaw wolności obywatelskiej tam, gdzie jej niema.

Lud przychodzi wszędzie do zrozumienia swoich praw politycznych i — co ważniejsza — swojej siły społecznej: Nie jest on już materyałem surowym w ręku warstw wyższych — do budowania ojczyzny polskiej, on wie lub czuje bezwiednie, że jest nie tylko przyszłością narodu, ale największą, może jedyną jego siłą czynną obecnie. Dziś w Galicyi nie prosi, ale już upomina się energicznie o należne mu stanowisko w życiu publicznym, o równouprawnienie polityczne i społeczne, wkrótce zaś groźnie domagać się zacznie. Ci nawet, którzy od lat wielu powoływali do sprawy narodowej »lud kmiecy, by ją dźwignął swemi plecami«, teraz przerażeni społecznym i politycznym charakterem ruchu ludowego, jego siłą żywiołową, niespodziewaną — przeciwdziałają chcą temu, czego niedawno jeszcze pragnęli. W Galicyi, i w innych zresztą dzielnicach, warstwa inteligentna i wogóle warstwy wyższe nie zdają sobie dobrze sprawy z tego, że od zachowania się ich względem ludu, raczej względem nurtujących w nim prądów politycznych, zależy w znacznej mierze dalszy przebieg naszego rozwoju społeczno-narodowego. Proces wyzwala się politycznego ludu jest właśnie w tym młodzieńczym okresie swego rozwoju, który wymaga szczególnej przezorności i ostrożności w traktowaniu jego objawów. Lud i wogóle społeczeństwo nasze niema wykształcenia politycznego — zaznaczył w odpowiedzi Lewakowskiemu minister do spraw Galicyi p. Rittner — stąd pochodzą częste nadużycia wolności obywatelskiej, — i należało dodać — gwałcenie tej wol-

ności. Wykształcenie polityczne nawet tej warstwy społecznej, która twierdzi zawsze, że monopol jego posiada, ma w Galicyi charakter urzędniczy lub dyplomatyczny. Żaden z wielkich i małych mężów stanu nie przechodził prawdziwej szkoły życia politycznego we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Nie mógł zresztą przechodzić, bo nie było tej szkoły, nie było walki politycznej, gdyż stosunek do rządu przedstawiał się raczej jako rokowania dyplomatyczne społeczeństwa polskiego z Austryją. Teraz dopiero zaczyna się taka walka, jest ona u nas i w każdym innym społeczeństwie byłaby nieuniknioną. Nawet zachowawcy nasi — Madejski w ostatniej mowie — stwierdzają, że walka ta jest nieodzowną. Niema w tem nic strasznego, bo życie polityczne każdego narodu jest ciągłą walką sprzecznych dążeń, interesów i potrzeb. I nie nad tem zastanawiać się warto: w jaki sposób jej zapobiedz, ale nad tem, czy ma być walką ludzi cywilizowanych, prowadzoną według pewnych zasad i prawideł, czy też barbarzyńskimi zapasami, w których obie strony chcą się wzajemnie wytepić i nie zachowują żadnych względów. Zachowawcy nasi przy każdej sposobności przypominają rządowi pruskiemu, walczącemu z ruchem emancypacyjnym ludu polskiego, że »kto wiatr sieje, zbiera burzę«, ale w podobnej walce, którą sami prowadzą, zapominają o tem mądrym przysłowiu. Wolno im ściągać na siebie burzę, która kiedyś ich zmiecie i nie warto byłoby troszczyć się o to, ale ta burza, którą postępowaniom swoim ściągają, jak każda siła żywiołowa nieohamowana, uszkodzić może zarazem te wiązania całości społecznej i te jej części składowe, które dla dobra ogółu powinny być zachowane, może zawichrzyć i zbić z właściwej drogi prawidłowy bieg rozwoju narodowego.

NASZ »SZOWINIZM«.

Pojęcie o patriotyzmie, jakie sobie naród w danym czasie urabia, jest dość dokładnym miernikiem jego samowiedzy i stopnia moralnej niezależności od społeczeństw otaczających. Nie jest to sprawa, którąby można rzucić na los chwilowych uczuć i samowoli jednostek. Na postępowaniu jednego cierpią wszyscy; ogół staje się zań odpowiedzialnym, ma więc prawo kontroli nad zachowaniem się jednostek, a prasa wolna obowiązkiem bronienia patriotyzmu od obniżenia i rozkładu.

Kto nie przywykł orientować się wśród złożonych i pozornie oderwanych zjawisk duchowości zbiorowej, a nie ma dość silnych i trafnych instynktów społecznych, aby w każdym swem wystąpieniu tej natury być odbiciem niejako uczuć i pojęć narodu, jako całości — temu trudno zaiste utrzymać się w życiu codziennym na stanowisku, wolnem od bardzo poważnych zarzutów. Inaczej mówiąc, kto nie ma w sobie dość silnego instynktowego patriotyzmu, musi szukać busoli postępowania w interesach i polityce narodu, jeżeli nie chce na każdym kroku popełniać uczynków, podkopujących wszelką narodową samowiedzę i do niewoli politycznej dorzucać dobrowolnie już niewolę moralną.

Często, zbyt często słyszy się u nas zdanie: »ja mam *swoje* pojęcia o stosunku do Rosyan, do Niemców, do władz i t. p. i *swój* tryb postępowania«. Mówię tu o ludziach uczciwych i dobrej wiary. Cóż to znaczy ten »swój tryb postępowania«? Jest to ukryta bezwiedna niechęć przyznania się do wspólności z tymi, którzy tak samo postępują, ale z innych pobudek w innym

mniej »ideowym« duchu. Czy będę szerzył i zalecał literaturę rosyjską ze względów nabyto cywilizacyjnych, w imię ogólnoludzkiej kultury, czy też dlatego że jestem w gruncie zruszczonym pseudo-Polakiem, lub figurą rządową, szerzącą rusefikację, to z punktu widzenia społecznego wychodzi zupełnie na jedno. Fakt w życiu narodowym pozostaje faktem, że kultura nietylko obca, ale wręcz wroga, szerzy się, urabia umysły, asymiluje, a przez to nas samych rozkłada. Powiedziałbym więc: daleko mniej szkody przynosi brutalny nacisk lub niezbyt zwykle sprytnie podstępny powołanych rusefikatorów, niż to bezwiedne, naiwne aż do niepoczytalności, współdziałanie ich planom. Tam mamy do czynienia z silnym, przebiegłym przeciwnikiem, który zmusza nas być również przebiegłymi i roznieca żądę siły, tu stoimy wobec pozornych współtowarzyszów w walce, którzy zarażają nas swą dezorganizacją duchową i znieprawiają zdrowy instynkt narodowy, przemieniając go w bezmyślną formułę.

Jeżeli ich stać jeszcze na głębszą refleksję, jeżeli mają chwilę zwątpienia, jeżeli krytyka ze strony otoczenia wywołuje w nich coś więcej nad spotęgowane zadowolenie z siebie, ci indywidualiści sumienia narowego mają łatwy miernik do oceny, czy postępowanie ich jest zgodne z moralnością publiczną społeczeństwa, wśród którego, ale nie z którym, żyją. — Niech sobie każdy z nich wyobrazi, że krok, wydający mu się wątpliwym, stał się regułą powszechną, ogólnym trybem, przyjętym i praktykowanym przez wszystkich. Stara formuła moralności, postawiona przez Kanta, »postępuj tak, aby twoje postępowanie mogło być przyjęte, jako zasada dla wszystkich«, może tu oddać wielkie usługi przyćmionej świadomości obywatelskiej. A dalej, niech przeniesie myślą to postępowanie ogółu na jednego człowieka i zada sobie pytanie: jakbym ocenił podobne zachowanie się jednostki wobec drugiej, stojącej do niej w takim stosunku, jak społeczeństwa zaborcze do naszego. W zastosowaniu praktycznym rachunek sumienia powinien być przeprowadzony w sposób następujący: Idzie mi, dajmy na to, o rozstrzygnięcie pytania, czy powinienem przyjmować u siebie »uczciwych Rosyan«, mówić do nich po rosyjsku i w ogóle utrzymywać z nimi stosunki towarzyskiej zażyłości. Komu instynkt narodowy nie dyktuje stanowczego, bezwzględnego nakazu — »nie!« ten niech się ucieknie do szczerego, nie wykrętnego rozumowania. Przypuśćmy, że ogół cały uważa pożyte z »uczciwymi Rosyanami« za właściwe i normalne. Każda sfera naszego społeczeństwa będzie wtedy przyjmować tych Rosyan, których ma za »porządnych«. Ja się bratam z Iwanem Mikołajowiczem, bo on się przychylnie zapatruje na niepodległość Polski i jest zdecydowanym wrogiem rządu, drugi obcuje z Aleksandrem Aleksiejewiczem, bo ten krytykuje postępowanie władz w Królestwie, trzeci gra w karty z Arkadjem Władimirowiczem, bo ten odzywa się z przekąsem o żandarmach i mówi *dzień dobryj* po polsku, ów będzie pił i całował się z oficerem, bo to taki »dobry chłopak«, jeszcze inny będzie przyjmował u siebie Broka, bo ten jest przeciwnikiem »Zamku«. Wszyscy mamy ze swego punktu widzenia równą rację i równie silnie popieramy braterstwo »uczciwych ludzi bez różnicy języka«. Gdyby ktoś zrobił zarzut przedstawicielowi najpodlejszej z tych kategorii, że jest marnym Polakiem, mógłby się śmiało powołać na przykład pana A. »gorącego patrioty«, który się z Iwanem Mikołajewiczem przyjaźni, i miałby zupełną słuszość, dopóki pożyte z oderwaną rosyjską moralnością nie będzie

możliwym bez pożycia z Rosyaninem, jako z przedstawicielem określonego języka i społeczeństwa. Samowolne ustanowienie dla pewnych kategorii ludzi praw wyjątkowych i przywilejów w kodeksie moralności publicznej jest furtką, przez którą wcisnąć się musi cały żywioł obcy a wrogi.

A teraz niech się zapyta siebie ów dobroduszny humanitarysta: co by sądził o człowieku, którego postępowaniem kierowałaby podobna zasada w życiu jednostkowym. Ma on do czynienia z wrogiem, który zniweczył cały jego dobytek przeszłości, który go gnębi, znieważa i pomiała wszystkim, co mu jest drogą, który wyteża wszystkie siły, aby zabić w nim ostatnią iskrę człowieczeństwa, który robi to z całą samowiedzą, z zasady i z interesu zarazem, i do tego wroga osobistego i krzywdziciela innych zbliża się z miłym uśmiechem porozumienia, zwraca jego uwagę na swą bezstronność, i zapewnia go, że ceni w nim wszystkie jego zalety, których inni nie dopatrują. »Przecież on jest dobrym, serdecznym ojcem rodziny, czyż mogą być do tego stopnia stronnym, aby nie uznać w nim tej cnoty? — Ja się zbliżam do ojca rodziny, a nie do brutalą i wyzyskiwacza! — Nie wiem co by zrobił ów poszukiwacz zasad moralności publicznej, gdyby w charakterze bezstronnego widza patrzył na podobny obraz ludzkiego poniżenia, ale to pewna, żeby uczuł najgłębszą pogardę dla istoty, któraby w podobnych warunkach u jego stóp się znalazła. Niechże będzie pewnym, że jego zachowanie się, jako objaw życia społecznego, tylko takie uczucie wywoła w narodzie wrogim i uczucie to nie da się zaliczyć do stron ujemnych tego narodu, bo je cechuje wyższość siły charakteru, choćby złego, nad dobrotliwym łaszeniem się nicości moralnej.

Rosyanin, przyjęty przez nas ze wszystkimi oznakami szacunku, należnego »porządному człowiekowi«, powie o nas niewątpliwie, że jesteśmy bardzo miłymi i towarzyskimi ludźmi, (cała Europa zresztą to powtarza jako jedyny tytuł do pochwały), ale pozostaną dla niego nadal niepojętymi wszelkie twierdzenia o przepaści dzielącej Polskę i Rosyę, o niemożności zbliżenia się w warunkach nierównych, o samodzielności naszej kultury i o przyszłości naszej politycznej, a myśląc o Polsce, jako o całości, będzie ją widział w roli prowincyi, związanej silnem ogniwem wspólności z Rosyą. Nie może czuć zadatków niepodległości w narodzie ten, kto niepodległego charakteru w jego obywatelach nie widzi.

A pojedyncze sądy takie wytwarzają opinię publiczną w Rosyi, w jej oczach rzecz się gorzej przedstawia, bo dla niej będziemy zawsze tym bitym prawicą, który równocześnie lewicę ścisła.

Słyszę już z góry odpowiedź: *comparaison n'est raison*, porównanie nie jest argumentem i nie mamy prawa zestawiać stosunku dwóch narodów ze stosunkami jednostek. Otóż nie jest to porównanie, ale zupełna tożsamość zjawisk, jeżeli narodu nie mamy za zbiorowisko ludzi, z których każdy postępuje według swych osobistych widoków materyalnych lub moralnych i każdy za siebie tylko odpowiada. Taki bowiem naród byłby tylko grupą szczepową, mówiącą do czasu jednym językiem; jeżeli ma posiadać zadatki samoistnego bytu, musi dorósć najprzód do samowiedzy swych zbiorowych zadań, a nadewszystko do solidarności w swych wystąpieniach w obec społeczeństw obcych.

Stronę przeciwną również brać musimy jako całość. Gdyby fakty z rosyjsko-polskich stosunków nie były dość przekonującymi, dość spojrzeć na obecne stanowisko Niemców wobec Polski, aby trzeźwiej rzeczy

ocenić. Tam chyba niema już wątpliwości, że nie z rządem tylko, ale ze społeczeństwem całym walka się toczy. Oprócz czynnych ochotników germanizacyi istnieje i tam wielu którzy tej taktyki nie pochwalają, ale to ogólnego charakteru stosunków nie zmienia. Jeżeli w Rosyi podobne zachowanie się społeczeństwa mniej się w oczy rzuca, to tylko za względu na brak umiejętności działania ze strony Rosyan.

Przytaczane przez wielu i znane aż nadto rozróżnianie rządu i społeczeństwa rosyjskiego przypomina ów naiwny sąd chłopów moskiewskich, którzy wszystko złe przypisują urzędnikom, działającym wbrew woli cara. Jednych i drugich przekonać nie są w stanie bijące w oczy fakty, i nie dziw, bo jedni i drudzy są tylko wyrazem bezwiednej uległości przed urokiem siły, uległości, którą sami przed sobą zasłaniają grą pojęć oderwanych. Nic to nie znaczy, że społeczeństwo rosyjskie od góry do dołu jest dziwnie jednolitem, stałem i wyrażnem w swym stosunku do nas, że różnice zapatrywań dotyczą tylko środków moralnego podboju i sosu, w jakim mamy być zjedzeni, że dotąd żadna poważna grupa nie stanęła szczerze i otwarcie w obronie naszych praw; nie to nie znaczy, że owi radykali kończą na biurach gubernatorskich i redakcyjach godzinowej prasy, *nie zmieniając przekonań*, co jest już tajemnicą duchowości rosyjskiej, że wszyscy, co do jednego są rosyfikatorami na naszym gruncie i nigdy nas nie traktują jako narodurówno-prawnego, wszystko to nie istnieje dla naszych humanitarystów, wszystko to gotowi im darować za ich zalety towarzyskie, a zwłaszcza za ich »szczere, swobodne, niczem nie skrępowane obyczaje«. Zapominają oni widać, że każdy przeciętny człowiek, szukając stosunków w obcym społeczeństwie, będzie wybierał ludzi »porządnych i uczciwych«, a unikał łotrów i szubrawców, że takie stanowisko nie jest żadnem ograniczeniem, niczego nowego nie wprowadza, a podniesione do zasady rzuca wprost całe społeczeństwo w objęcia drugiego, które na to tylko czycha.

Że tak jest, że naród uciskający będzie brał każdą chęć zbliżenia ze strony narodu uciskanego za dowód jego słabości, za hołd sobie przynależny, z którego się nawet nie kwituje, na to znajdzie dość dowodów każdy, kto w odpowiednich warunkach obserwował stosunki nie pomiędzy jednostkami, ale pomiędzy grupami dwu narodowości. Stosunki te występują najjaśniejszy w życie młodzieży uniwersyteckiej i to zarówno w ogniskach rosyjskich jak i zagranicznych; w tych ostatnich o tyle wyraźniej, że warunki otoczenia i presya władzy nie komplikują położenia. Za moich czasów studenckich miałem możność czynienia spostrzeżeń w tym względzie w rozmaitych warunkach i sądzę, że uwagi moje podzieli każdy, kto na te stosunki patrzył. Otóż wszędzie, gdzie studencka kolonia polska żyła i bratała się z rosyjską, tam uważano ją za nieistniejącą, nie liczono się ani z językiem, ani z jakąkolwiek odrębnością Polaków, każde zaznaczenie odrębnego stanowiska szło na karb »szowinizmu«, a uroszczenia ciągle wzrastające końca nie miały. Stosunki osobiste bywały znakomite, opłacane tem tylko, że z językiem polskim nikt się nie odzywał, o Polsce, jej położeniu, potrzebach i dążeniach nie mówiono wcale, literatury polskiej nie tykano, a Polacy byli uważani za pewnego gatunku odmianę Rosyan. Trzeba było słyszeć impertynencye, robione tym, którzy się poważyli, zagranicą naprzykład, odezwać po niemiecku lub francusku do Rosyanina! Poczytywał on to niemal za zamach na swoje prawa, ale przez to bynajmniej ani w oczach innych Rosyan, ani w oczach na-

szych humanitarystów za szowinistę nie uchodził. Bo termin »szowinizmu« tylko do nas samych stosujemy, on tak łatwo i dobrze zasłania brak charakteru, odwagi cywilnej i godności narodowej!

Inaczej wyglądają stosunki tam, gdzie kolonie polskie występują jako ciała zorganizowane, odcięte zupełnie od Rosyan, a znoszące się z nimi, w razie koniecznej potrzeby, tylko przez uprawnionych do tego przedstawicieli. Tam językiem używanym w stosunkach będzie zagranicą zawsze język neutralny, w Warszawie — polski, a tylko w Rosyi — rosyjski. Gdziekolwiek Polacy nie poddają się niższej kulturze Rosyan, ale zachowują i rozwijają swoją własną, tam przerastają ich zawsze o głowę taktem, wyrobieniem, cywilizacją i niezaprzeczenie zdolnościami, to też, trzymając się w należytem oddaleniu, zyskują szacunek i zachowanie. Liczą się z nimi, traktują jako przedstawicieli narodu równoprawnego i dbają o to, aby nie zadraskać polskich uczuć narodowych. Imponuje im przytem wyższa kultura polityczna, która niepotrafi pogodzić radykalizmu przekonani z petycjami do członków rodziny panującej lub nabożeństwami za Aleksandra — Oswobodziciela. Naturalnie Polacy, szanujący swą godność narodową, są przez współkolegów Rosyan nazywani »szowinistami«, szczególnie po cichu, ale epitet ten, sądząc z ich zachowania się, trzeba uznać jako zaszczytny. Jeżeli gustują w towarzystwie, naszych humanitarystów pojedynczo wziętych, to zbiorowość ich za nic mają; »szowinistów« boczą się w obcowaniu prywatnem, ale dla całości mają szacunek i uznanie. A ci ostatni nie są przynajmniej narażeni na takie przyjęcia, jakiego doznało grono studentów Polaków, traktujących wspólnie z Rosyanami o sprawy studenckie. W odpowiedzi na zaznaczoną przez nich odrębność stanowiska polskiego, usłyszeli z serca płynący wykrzyk »radykalnej« żydówki rosyjskiej: „*Kak, wied' wy nasi poddanyje!*“ — *Te nasi!*“ zaliczyć trzeba do tych bezwiednie trafnych wyrażeń, które lepiej malują sytuację, niż wszelkie socyologiczne wywody o różnicy rządu i społeczeństwa rosyjskiego.

Rosyjski język posiada termin, symbolizujący najgłębszą, najbardziej wrodzoną cechę charakteru narodowego: jest to „*nachalstwo*“, połączenie nieświadomej arogancji ze świadomą bezczelnością. Cecha ta występuje wszędzie, gdzie natura rosyjska czuje swoją przewagę i siłę wobec żywiołu obcego, powolnego i uległego, czy to będzie jednostka w życiu towarzyskiem, czy społeczeństwo całe w stosunkach międzynarodowych. Tak zwana rosyjska dobroduszość jest szczerą tylko u siebie w domu, w ścisłym kole zupełnie zasymilowanych żywiołów; staje się udaną, kiedy wrodzone „*nachalstwo*“ zetrze się z większą siłą i kapituluje. Ci, którzy zachwycają się nią w życiu codziennem, nie czują tego, że są traktowani z dobroduszością, bo ich uważają za »swoich«, ale niema to nic wspólnego z uszanowaniem godności ludzkiej w człowieku obcym, co jest jedynie właściwością cywilizacji. Rosyanin będzie się wdawał w »szczerą gawędkę« z chłopem swojej wsi, ale zagranicą wyrzuci brutalnie za drzwi kelnera, którego języka nie rozumie. Śmiało powiedzieć można, że najmniej znają charakter rosyjski ci, którzy najwięcej przestają z Rosyanami w stosunkach towarzyskiej zażyłości.

Należy to zapisać jako pewnik, na wstępie do naszego nieurobionego jeszcze kodeksu moralności publicznej, że im bardziej Polacy zbliżać się będą w życiu towarzyskiem do Rosyan, tym silniej zakorzenia w nich

to przekonanie, że Polska jest ich nieodłączną, podbitą na zawsze prowincją. I to zupełnie nawet niezależnie od tego, co im będą w poufnych pogawędkach prawili o naszej samodzielności. Nie idzie nam bynajmniej o to, co Rosyanie *myślą* o Polsce, ani jakie zdania o niej wygłaszają, to nas nie obchodzi; dbać natomiast powinniśmy, aby *czuli* w nas społeczność odrębną, niepokorną, nieprzejednaną, aby im własny instynkt nakazywał uważać nas za narodowość odmienną, narówni z Niemcami, Anglikami i Francuzami. To też dziwną naiwność zdradzają ci, co wprowadzają Rosyan do domów polskich, aby im ułatwić poznanie naszego społeczeństwa i oświecać co do naszych stosunków. Rosyanin wtedy zrozumie stosunek obu narodów, kiedy znajdzie wszystkie drzwi polskie zamknięte, a od swego znajomego Polaka usłyszy, że tylko w języku polskim porozumieć się tu może. Tak postawiona kwestya więcej go nauczy i oświeci, niż wszelkie opowiadania i spory, bo to jest fakt społeczny, a tamto cześć słowa prywatne.

Nie zapominać również o tem, jaki wpływ wywiera na młode pokolenie obecność Rosyanina w domu polskim w charakterze gościa: na stopień zmysłu narodowego w umysłach niedojrzałych często jeden fakt taki wystarcza. Jeżeli pokolenie, które w swych latach dziecinnych widywało w domu Moskala tylko jako łupieżcę i wroga, dziś go często jako gościa przyjmuje, cóż będzie z pokoleniem, otrząskanem z tym widokiem zamłodu? A jakie wnioski wyprowadzą z podobnego faktu domownicy nasi, pochodzący z ludu, nie dotkniętego jeszcze »humanitaryzmem«? Jeżeli dbamy tak o »przykład dla służby« na punkcie postów i praktyk religijnych, jakim prawem demoralizujemy wrodzone ludowi poczucie odrębności od Moskali? Nie zapominajmy na koniec i o tem, że kto Rosyanina do domu swego wprowadza, ten z góry przypuścić musi, że siostra jego lub córka, równie mało jak on na tym punkcie drażliwa, małżeństwem znajomości taką zakończyć może. Czy to mieszane małżeństwo z prawosławnym potomstwem uszczęśliwi przynajmniej kobietę, która Polką być już przestała? Niech sobie na te pytania odpowiedzą ci, co zrozumieć nie chcą, że Rosyanin w domu polskim tylko w roli żandarma, z rewizją pokazać się ma prawo!

Ale kto chętnie »szowinizmem« szafuje, równie chętnie każdy objaw samowiedzy narodowej w życiu potocznej nazywa »przesadem«. Naturalnie, o ile od nas wychodzi, bo jeżeli Rosyanin w Polsce mówi po rosyjsku, jest to w porządku rzeczy, ale jeżeli Polak potępi odzywanie się do niego w języku urzędowym, spotka się z zarzutem szowinizmu.

Taka wygórowana obawa »przesady«, która jest w gruncie tylko moralnem rozpuszczeniem, daleko zaprowadzić może, a w każdym razie głębokie pozostawia skazy na charakterze narodu. W żadnem chyba społeczeństwie granica pomiędzy dobrem a złem nie jest tak zatarta jak u nas, bo każde usiłowanie ścisłego, kodeksowego oznaczenia, gdzie się kończy lekko-myślność a zaczyna przestępstwo, będzie poczytane za objaw przesady. Pobłażliwi więc jesteśmy nieskończenie dla wszystkich, co nie przesadzają w uczciwości: począwszy od obywateli ziemskich, którzy dewastują majątki i ukrywają felery koni, a skończywszy na tych, którzy zrywają owoce przy drogach i kwiaty w ogrodach publicznych. Skutek taki, że złodziejstwo w naszym kraju jest tak powszechnem, jak nigdzie. Nie sądy tu winny, ale opinia publiczna, ale obyczaje życia codziennego, bo instynkt moralności wśród ogółu przedewszystkiem na drobnych faktach się urabia i nie to

społeczeństwo nisko stoi, w którym kradzieże są grube, ale to, w którym są drobne a częste.

To samo w moralności politycznej: wyraźna zdrada ze strony jednostek mniej szkody przynosi, niż stopień narodowego poczucia wśród ogółu. Ale my nie lubimy przesady, to też niema takiego punktu w kodeksie moralności publicznej, którego by różni przeciwnicy »szowinizmu« nie gwałcili jawnie i bezkarnie.

Trudno doprawdy orzec, skąd czerpie u nas wielu swe pojęcia o patryotyzmie. Możliwy przypuszczać, że urabia je sobie na podstawie opinii, wszczepianej w nasze społeczeństwo przez propagandę rosyjską. Ta ma bezpośredni interes, aby każdy objaw świadomego patryotyzmu, jako szowinizm przedstawiać, a my boimy się epitetów gorzej, niż złego, w które nas ta obawa dziecinna wciąga. Boć tak wąskiego, obciętego, chwijnego pojęcia o patryotyzmie nie znajdziemy w żadnym z cywilizowanych narodów. Niech mi kto wskaże Anglika, Francuza, Niemca lub Włocha, którzyby się dobrowolnie kształcił na literaturze obcej, szerzył ją i przejmował się nią bardziej, niż swoją, za ledwie mu znaną, a na własnej ziemi mówił do cudzoziemca w obcym języku. Takich faktów nie spotyka się nawet w zwykłym, normalnym stanie stosunków międzynarodowych. Niech nastąpi ich zaostrzenie, wtedy wszyscy, bez nakazu, bez propagandy, instynktem narodowym wiedzeni, całym swym zachowaniem zaznaczają przedział, jaki się utworzył między nimi a stroną przeciwną. Cóż dopiero mówić o stanie walki na śmierć i życie, jaka nam wypowiedziana została i jakiej drugiej niema przykładu w stosunkach narodów europejskich. Pomiedzy Francuzami a Niemcami, którym o honor państwowy raczej idzie, niż o rzeczywistą walkę dwóch narodów, przedział jest taki, że żaden pojedynczy obywatel nie odważyłby się na jakiegokolwiek zbliżenia pokątne, bo każdy czuje się stróżem interesów kraju. A nam się zdaje, że »piastowaniem uczuć narodowych« i cichymi westchnieniami, w przeszłość lub w przyszłość zwróconymi, spłacamy już dług patryotyzmu, postępując równocześnie tak, jak gdybyśmy nie już z wrogami, nie ze sprzymierzeńcami nawet, ale ze współobywatelami jednego szczepu do czynienia mieli. W obyczajach, w moralności publicznej życia codziennego zawarte są już zadatki programu dla przyszłości narodowej; kto się przejmuje kulturą rosyjską, kto toleruje zbliżenie pomiędzy przedstawicielami obu narodów, ten wprowadza nieprzyjaciela za ostatnie szanice naszej samodzielności.

Uczucie narodowe nie może być biernem, w obec siły która je zniweczyć pragnie, ale napięciem swoim musi jej dorównywać, musi ją przewyższać nawet, gdyż zadaniem jego jest zastąpić w części przynajmniej brak sił materialnych w odporze. Najbardziej nawet wygórowana nienawiść w narodzie uciśnionym nigdy szowinizmem być nie może. Szowinizm jest to uczucie przedewszystkiem natury państwowej, uczucie wyższości w stosunkach międzynarodowych, chęć podboju, poniżenia innych i narzucenia im swej przewagi materialnej i moralnej. Jeżeli gdzie panoszy się on w całej sile, to właśnie w Rosyi, w jej stosunku do nas, do wszystkich narodów podbitych, do całego świata cywilizowanego. Przypomnijmy sobie słowa Tokstojana, tego obłudnego apostoła »niesprzeciwiania się złu«, przedewszystkiem własnemu. Na pytanie korespondenta, co sądzi o polityce europejskiej, a zwłaszcza rosyjskiej, zagadnął on »dobrodusznie«: »A czy jest w Europie inna polityka, jak rosyjska? Jest to znakomity komentarz do

jego wycieczek przeciwko patryotyzmowi polskiemu w imię chrześcijańskiego braterstwa ludzi.

My i szowinizm! W historii nie mieliśmy go nawet tyle, aby był niezależny utrzymać wśród państw, które tem tylko uczuciem oddychały, dziś obniżamy piędź po piędzi poziom naszego patryotyzmu, twierdząc mniej lub więcej szczerze, że się szowinizmu wyrzekamy. Formułę tę przyniesiono do nas z Rosyi, przynieśliśmy ją sami przez tych, którzy dłużej tam przebywając, ulegli bezwiednie wpływowi obcej kultury. Jak ten wpływ głęboko się zakorzenił, niech świadczy fakt, że ci sami, którzy w swej »bezstronności« nie szczędzą pochwał dla »zdrowej natury społeczeństwa rosyjskiego«, po wyjeździe zagranicę, bez wyjątku prawie krytykują cywilizację i kulturę Zachodu. Ubóstwo życia rosyjskiego, pierwotność jego obyczajów i połączone z tem cechy biorą za wysokość typu; o całej odwrotnej a nierozłącznej z tem stronie skandalicznych polityczno-społecznych urządzeń zapomina się w tem porównaniu. My do Zachodu należymy dziejami, tradycją, kulturą, to też rozkładający ten wpływ wschodnich powiewów grozi nam podwójnie: naszej przyszłości narodowej i cywilizacyjnej.

Reakcja przeciwko temu nie może być dość silną, bo gdziekolwiek słyszymy zarzut szowinizmu polskiego, tam bezwiedny lub świadomy patryotyzm rosyjski świeci swój tryumf!

B. O.

Z CAŁEJ POLSKI.

Sprzedż Topolna i Bank ziemski. *Warszawskij Dniownik* o komisji generalnej i Banku włościańskim. Propaganda protestancka jako środek niemieczenia ludności polskiej. Projekt *Gazety ludowej*. Kilka uwag z powodu interpelacji w Radzie państwa o nadużyciach w Galicyi.

Nową stratę własności polskiej zaznaczają pisma polskie, stratę dotkliwszą niż wiele poprzednich, bo majątek, który komisja kolonizacyjna nabyła, leży w powiecie świeckim, gdzie przy wyborach żywił polski i niemiecki równoważą się niemal zupełnie i jak to ostatnim razem było, kilka głosów o zwycięztwie rozstrzyga. A przejście majątku w ręce komisji, to strata kilkudziesięciu głosów polskich służby miejscowej, to przybytek kilkudziesięciu głosów niemieckich. Topolno było w ciągu stu trzydziestu lat w rękę jednej rodziny. Dobra mają około 4.000 morgów pruskich obszaru i zaokrągla ją nabytki komisji, która w powiecie świeckim zakupiła poprzednio od właścicieli polskich cztery majątki, czyli 13.800 morgów. Z 80 właścicieli ziemskich trzech już tylko zostało Polaków. Kandydatów na posłów przez czas jakiś, dopóki komisja i tych nie wykupi, jeszcze nie zabraknie, bo o innej roli przewodniej, rzeczywistej czynnej, chyba te niedobitki marzyć nie mogą.

Jednocześnie z tą smutną wiadomością ogłoszono drugą — pomyslną o rezultacie zapisów na akcje Banku ziemskiego. Wiadomo, że zapisy na 800 akcji, przed 1 stycznia r. b. ogłoszone, nie dały pożądanego rezultatu. Bank jednak nadziei nie stracił, termin do 1 lipca przedłużył i nie zawiódł się w oczekiwaniach, bo zamiast na 800 zebrano zapisów na 1096 akcji. Ci, którzy akcyi dostać nie mogli, bo więcej niż 800 Bank wydać nie ma prawa, pozostawili wpłacone sumy na 4%, spodziewając się, że wkrótce ogłoszona będzie trzecia emisja na milion marek. Nowa emisja w blizkiej przyszłości jest konieczną, bo jak powiada zarząd Banku w niedawno ogłoszonym sprawozdaniu: »ruch kolonizacyjny naturalnym sposobem wyłania się pod naciskiem potrzeb społecznych i położenia ekonomicz-

nego naszego rolnictwa a rozwijać się musi z elementarną siłą logiki socyalnej. Bank obecnie ma do rozkolezowania obszar, wynoszący przeszło 8000 morgów, a w rachubę nie wchodzą majątki, parcelowane przez polskie spółki ziemskie. Pomimo to nietylko komisya kolonizacyjna ale i Landbank hakatystowski rabyły w tym roku sporo majątków polskich, niektóre z nich Bank ziemski mógłby na dogodnych warunkach rozparcelować, gdyby miał kapitał odpowiedni.

Powiększenie funduszów Banku tymbardziej jest potrzebne, że komisya generalna, zajmująca się osadnictwem rentowym, która do niedawna z bezstronnością zupełną pomagała nabywcom Polakom, obecnie pod naciskiem z góry zmieniła sposób postępowania. Komisya żąda teraz, ażeby przy parcelacji każdego majątku część osad rentowych oddawana była Niemcom, w stosunku, odpowiadającym stosunkowi ludności niemieckiej w danej okolicy. Tworzenie osad mieszanych z naszego stanowiska narodowego nie jest wcale pożądanem, a w niektórych wypadkach wymaganie komisji po prostu uniemożliwia parcelację, bo Niemców, którzyby chcieli nabywać osady rentowe, znaleźć trudno, nawet komisya kolonizacyjna, dająca dogodne warunki, znaleźć ich nie może.

Z tego względu Bank nasz szukać musi innych dróg działania i innych środków pomocniczych, któreby mu zadanie ułatwiały. Istniejące już i rozwijające się pomysły spółki ziemskie powinny mieć poważną instytucję centralną, któraby ich w pewnych wypadkach wspierała, jak to już zresztą dziś nieraz Bank ziemski czyni. Przeszkody, które od pewnego czasu władze stawiają kolonizacji polskiej, usunąć można zawsze, lub ominąć, ale potrzeba na to większego kapitału obrotowego i pewnej umiejętności w postępowaniu. Prywatni przedsiębiorcy parcelacyjni i spółki ziemskie niekiedy nie mogą dać sobie rady z trudnościami, które w działalności swej napotykaają, zdarza się np. dosyć często, że władza ze względów formalnych, właściwie wskutek niechęci do Polaków, nie zatwierdza planu parcelacji lub nie daje konsensu osadniczego, lub umyślnie przewleka sprawę, stawia warunki dodatkowe i t. d.

Autor zamieszczonego w warszawskiej *Gazecie rolniczej* artykułu p. t. »Stosunki rolne w W. Ks. Poznańskim« zaznacza, że komisye generalne utworzyły dotychczas 5010 osad rentowych, z których 3.233 posiadają Niemcy, 1630 Polacy, 89 Mazury, 69 Litwini, 2 poddani austriacy i 1 obywatel szwajcarski. *Warszawskiej Dniownik*, przytaczając zdanie autora wymienionego artykułu, że ustawa według której działają komisye generalne »równa się (?) pod wielu względami ustawie Banku włościańskiego w Królestwie« dodaje, że są i w »różnice istotne.« Taką różnicą na korzyść Banku włościańskiego ma być to, że nie wydaje on pożyczek obcym poddanym, ani nawet poddanym rosyjskim pochodzenia niemieckiego i żydowskiego.

W przekonaniu, zdaje się nawet szczerem, *Dniownika*, ma to być zaletą Banku włościańskiego w porównaniu z komisją generalną. Ale wyłączenie obcych poddanych, zresztą prawnie uzasadnione, wyłącza głównie Polaków pruskich i austriackich, którzy w pasie pogranicznym często całe majątki rozkupywali. Nie ulega również wątpliwości że wyłączenie poddanych rosyjskich Niemców nie jest wynikiem jakiejś szczególnej dbałości o interesy ludu polskiego. Inny wzgląd je podyktował, kolonizacja zaś niemiecka w Królestwie, jak doświadczenie pokazało, nie jest wcale dla nas groźną. Sporo posiadłości kolonistów niemieckich wykupili chłopcy polscy, a wykupiliby znacznie więcej, gdyby mieli kredyt dostępny i gdyby rozporządzenia rządowe nie utrudniały Niemcom nabywania ziemi w kraju zabranym w Rosyi właściwej. Zresztą koloniści niemieccy polszczyli

się dawniej dosyć łatwo i dopiero po r. 1863 kiedy rząd umyślnie utrwałac zaczął ich odrębność, polszczyć się przestali.

Wychwalając mniemaną życzliwość rządu dla ludności polskiej, *Dniownik* zapomina umyślnie o ograniczeniu tej ludności w prawie nabywania ziemi przy pomocy Banku. We wschodnich powiatach gubernii lubelskiej i siedleckiej, w części gubernii łomżyńskiej i suwalskiej Bank nie daje wcale pożyczek włościanom Polakom, chociaż stanowią tam oni znaczną część, niekiedy więcej niż 50% ogółu mieszkańców. Wprawdzie w ostatnich czasach i komisya generalna ogranicza liczbę osadników Polaków, ale teraz nawet określa tylko stosunek dwóch narodowości, nie wyłączając z zasady żywiołu polskiego.

Nie mam zamiaru wcale przedstawiać polityki niemieckiej, jako wzoru do naśladowania nawet dla Rosyi. Ponieważ jednak nawet czytelnicy polscy przyjmują czasem za dobrą monetę argumenty prasy rosyjskiej w rodzaju przytoczonych, nie zawadzi przy sposobności zaznaczyć różnicę dwóch polityk, dwóch sposobów postępowania. Polityka niemiecka względem żywiołu polskiego jest dla nas w wielu wypadkach szkodliwszą niż rosyjska, ale rosyjska byłaby szkodliwszą, gdyby mogła. Rząd pruski w celach germanizacyjnych główny nacisk kładzie na popieranie żywiołu niemieckiego środkami, którymi rozporządza; rząd rosyjski dąży do rusyfikacji za pomocą ograniczenia praw ludności polskiej. System pruski dopuszcza walkę legalną i współzawodnictwo, rosyjski zakazami uniemożliwia wszelkie przeciwdziałanie jawne. Niema żadnego powodu chwalić Niemców, że działają w ten sposób, bo inaczej działać nie mogą ze względu na ustrój konstytucyjny państwa. Ale tymbardziej nie ma powodu czuć jakiegokolwiek wdzięczności dla rządu rosyjskiego za to, że polityka jego mniej nam, niż niemiecka szkodzi, bo zawdzięczamy mniejszą jej skuteczność sobie samym lub warunkom przyrodzonym naszego bytu, i od naszej i od rosyjskiej woli niezależnym.

Jednocześnie ze sprawozdaniem Banku ziemskiego zamieściły dzienniki wyjątki z memoriału o działalności komisji kolonizacyjnej, ogłoszonego przez ministerium rolnictwa.

W pierwszych numerach naszego pisma z r. b. pisaliśmy dosyć szczegółowo o tej działalności i podaliśmy ważniejsze cyfry, które w ciągu ostatniego półrocza nie wlele się zmieniły. Obecnie zaznaczamy tylko, że komisya z wyznaczonego jej funduszu wydała już 70 milionów marek, mianowicie na kupno ziemi około 54 milionów, resztę zaś na urządzenie kolonij, administrację i t. d. Półtora miliona kosztują gmachy publiczne, mianowicie 66 szkół i 6 kościołów ewangelickich. Szkoły przeznaczone są nietylko dla kolonistów, których liczba wraz z rodzinami wynosi najwyżej 12.000. Z początku komisya osadzała niekiedy katolików Niemców, od pewnego czasu jednak sprzedaje parcele niemal wyłącznie protestantom. To samo robi Landbank, który katolikom niemieckim, pragnącym od niego nabyć ziemię, wręcz odmawia. Niektóre katolickie pisma niemieckie zwracają na to uwagę i tłumaczą swoim czytelnikom uboczne cele polityki germanizacyjnej. *Märk. Volkszeitung* i *Germania* z powodu projektu nowych ustaw przeciw Polakom i doradzanych przez hakatystów zmian, piszą, że »Nowy plan zdradza zbyt wyraźnie cel ostateczny, t. j. ten sam dla którego na barki ludności, płacącej podatki, włożono fundusz stumilionowy a celem tym jest zluznienie ludności polskiej. Szcują znów przeciw Polakom, ale katolicy niemieccy umięją ocenić usposobienie kół decydających. Mówi się o Polakach, ale myśli się o kościele katolickim.« Dziennik katolicki myli się, twierdząc, że ostatecznym celem jest »zluznienie« ludności polskiej, ale nie ulega wątpliwości, że

i rząd i patryoci niemieccy widzą w rozszerzaniu protestantyzmu najskuteczniejszy środek germanizacji. Wprawdzie polska ludność protestancka zachowała poczucie narodowe tam, gdzie siedzi zwartą masą, ale i tam nawet poczucie to jest słabszym i nieświadomym. Wszędzie zaś, gdzie Polacy ewangelicy stanowią nieliczną gromadkę lub żyją w rozproszeniu pośród niemieckiej ludności protestanckiej, wynaradawiają się bardzo łatwo. Dzieci małżeństw mieszanych w otoczeniu protestancko-niemieckim nieczą się zwykle, kiedy dzieci polsko-niemieckich małżeństw katolickich stają się na ogół Polakami. W pojęciu ludu katolicyzm jest zmianem polskości, protestantyzm — niemieczyny. Jest to pojęcie błędne, bo, nie mówiąc o coraz wyraźniej występującym patryotyzmie niemieckim katolików Niemców, zaznaczyć trzeba, że w państwie pruskim mieszka około 600.000 Polaków-protestantów, co stanowi prawie $\frac{1}{5}$ ludności polskiej. Duchowieństwo protestanckie, zniemczone lub niemieckie, świadomie dopomaga germanizacji tej części ludu polskiego, chociaż z jego szeregów wychodzili niegdyś najdzielniejsi bojownicy sprawy narodowej na Mazurach i na Śląsku austriackim. Niejednokrotnie już pisano o sposobach przeciwdziałania niemczeniu się duchownych protestanckich. Projekt założenia wydziału teologicznego z językiem wykładowym polskim, możliwy byłby do urzeczywistnienia w Galicyi, ale nie poprą go z pewnością sfery wpływowe, a zresztą z wykładów mogliby korzystać w małej tylko liczbie Polacy z Prus. W mazurskiej *Gazecie ludowej* porusza znowu tę sprawę »ksiądz K. M. Pastor.« Oblicza on, że jest dziś około 2 milionów ewangelików Polaków wogóle, a w Prusiech około 600.000. Zdaniem jego jezuici wygłosili zasadę: co ewangelik to Niemiec, a teraz władza duchowna kościoła ewangelickiego »taką pogańską zasadę« powtarza i »stara się naród polski ewangelicki niemczyć w kościele«.

»Jeżeli jaka instytucja chrześcijańska — woła z oburzeniem autor — łączy się z tyranami ludzkości i wspólnie z nimi uciera słańszych braci, wydzierając im siłą wolność sumienia i mowę ojczystą, nie głosi ewangelii w języku zrozumiałym, ale w kościele narzuca wiernym język, którego nie rozumieją... taka instytucja jest wilkiem drapieżnym w owczarni Chrystusowej, a słudzy duchowni tejże instytucji są najemnikami, ale nie pasterzami! Przeciwno takiemu nadużyciu w kościele chrześcijańskim całą siłą protestować należy, bo takie nadużycie jest przeciwko woli Chrystusa, jest niewiarą i barbarzyństwem.«

Przytoczyłem ten wyjątek, bo świadczy on o śmiałości przekonań i sile uczucia autora. Szkoda, że żaden ksiądz katolicki nie ośmielił się nigdy napiętnować w podobny sposób polityki kościelnej biskupa wrocławskiego lub chełmińskiego. Ale wróćmy do sprawy, która nas zajmuje.

Autor artykułu w *Gazecie ludowej* zadaje pytanie: »z kąd wziąć dla wszystkich zborów ewangelickich polskich pastorów i kaznodziei, głoszących zrozumiałe słowo boże i kochających szczerą miłością braterską swoich zborowników.« Dzisiaj takich duchownych bardzo niewiele się znajduje i jest pod tym względem coraz gorzej. Proponuje więc autor założyć »zakład dla chłopców ewangelickich polskich«. Czem ma być ten zakład, objaśnia w następujący sposób: »Zakład ten będzie miał za cel pielęgnować wśród młodzieży mowę polską. Młodzież ta, rozumie się, musi uczęszczać do gimnazjum, a po skończeniu takowego udać się na fakultet teologiczny na uniwersytecie. Pielęgnowany z poświęceniem język polski przez całe gimnazjum stanie się dla młodzieży duszą. Młodzież ta i na uniwersytecie będzie miała swój związek polski, swoje kółko, gdzie dalsze pielęgnowanie mowy ojczystej będzie jej celem, aby, skończywszy studia teologiczne, mogła być użyteczną w kościele pol-

skim ewangelickim.« Autor przewiduje lepsze czasy, kiedy znikną »uprzedzenia do wyznania ewangelickiego, jako niemieckiego«, »nienawiści wyznaniowe będą słabnąć, a natomiast braterstwo jedнопlemienne, oparte na miłości Chrystusowej, wzmacniać się pocznie«.

Utworzenie takiego zakładu nie napotkałoby trudności szczególnych, ale z kąd wziąć fundusze? Myśl autora zwraca się ku owym czasom, kiedy szlachta polska fundowała kościoły, szkoły i inne instytucje ewangelickie. Takich dobroczyńców hojnych dziś niema, ale wśród 600.000 ewangelików polskich w Prusiech znajdują się »gorliwi wyznawcy«, którzy na zakład ofiar nie poskąpią.

Znaleźliby się i dziś z pewnością hojni ofiarodawcy, nie tylko pośród 600 000 ubogich ewangelików polskich w Prusiech, ale i w innych dzielnicach kraju. W Warszawie i wogóle w Królestwie jest sporo bogatych protestanckich rodzin polskich. Ale dla zebrania funduszy nie wystarczy ogłoszenie ogólnikowego projektu w piśmie, przeznaczone dla ludu. Należałoby bodaj ów artykuł *Gazety ludowej*, uzupełniony szczegółowym projektem zakładu, wydać w odbicie i rozpowszechnić, a zarazem dać chociażby skromną inicjatywę do składek i ogłosić, kto je przyjmuje. Inaczej pomysł bardzo trafny i doniosły pozostanie w rocznikach pisma, jako pamiątka dobrych chęci.

We właściwej rubryce mówimy szczegółowo o interpelacji Koła polskiego i nagłym wniosku posła Lewakowskiego z powodu nadużycia władz politycznych w Galicyi. Tu zaznaczyć tylko, że dzienniki zachowawcze i wogóle wszystkie pisma, nieprzychylnie stronnictwu ludowemu, nie mogąc ani zaprzeczyć faktom, które Lewakowski w mowie swej wymienił, ani ich usprawiedliwić — potępiają wnioskodawcę ze stanowiska patryotycznego. Ci sami, którzy uczcili pamięć Aleksandra III, wyrzucają brak patryotyzmu posłowi, który jeden miał odwagę przeciw temu hańbiącemu naród czynowi zaprotestować, ci, którzy od trzydziestu lat powtarzają, że są najwierniejszymi poddanymi Austrii, oskarżają dziś Lewakowskiego o zbyteczne austrofilstwo. Poseł lwowski wygłosił i rozwinął w mowie swej myśl że demokratyczny i narodowy ruch polski nie tylko nie jest szkodliwym dla państwa austriackiego, ale nawet z wielu względów powinien być dla niego pożądanym. Zaznaczenie zbieżności w danej chwili interesów naszej polityki narodowej z interesami polityki państwowej austriackiej nie ma w sobie nic takiego, coby urazić mogło najdrażliwsze sumienie patryotyczne. I nie tylko zaznaczenie tego faktu, ale nawet wysnucie z niego pewnych wniosków praktycznych. To nie lojalizm z zasady stańczyków, albo bardziej od niego demoralizująca wdzięczność dla państwa za to, że nas nie prześladowa, którą nieraz głośno wyrażają patryoci liberalni. Mamy pewne wspólne interesy z państwem, możemy więc wspólnie z niem działać w pewnym zakresie i, wykazując użyteczność dążeń naszych narodowych dla celów politycznych Austrii, żądamy, żeby rząd przynajmniej ich nie krępował. Nie uznajemy ani obowiązku szczerzej lojalności, ani obowiązku wdzięczności, bo jedynym wskaźnikiem naszej polityki jest interes narodowy, ale przyjmujemy kompromis, jeżeli ten interes nam go nakazuje. Nie ograniczamy przez to naszej swobody działania, nie poniżamy naszej godności narodowej, zarazem zaś państwu dajemy pewniejszą rękojmnię, aniżeli zasady lojalizmu, które dziś nie przeszkadzają Stańczykom zwolna zwracać się ku Rosyi; aniżeli uczucie wdzięczności, które w naszym położeniu może być tylko uczuciem dusz marnych, znikczemionych niewolą. W mowie, poświęconej innej sprawie, nie mógł tego wszystkiego Lewakowski powiedzieć, zaznaczył tylko ogólnikowo pogląd, który wyżej przytoczyliśmy. Wykrzykniki niedawnych mameluków i stańczyków, ucharakteryzowanych

dziś na patryotów, nikogo chyba w błąd nie wprowadzą w Galicyi, ale mogą dać fałszywe pojęcie czytelnikom z innych dzielnic, dla tego poświęciliśmy trochę miejsca tej sprawie.

Na czytelników naiwnych lub nieznających stosunków sprawić może pewne wrażenie zarzut, powtarzany przez dzienniki, że nie należało wywłóczyć sprawy w Radzie państwa, lecz podnieść ją w sejmie. Zarzut na pierwszy rzut oka wydać się może słusznym, nie jest jednak wcale uzasadnionym, bo najprzód Lewakowski nie mógłby zadosyć uczynić żądaniom, nadsyłanym do niego z różnych stron kraju, żeby sprawę poruszył, gdyż nie jest posłem sejmowym. Powtóre postępowanie władz politycznych nie podlega wcale kompetencji sejmu i uchwała sejmowa nie miałaby w tej sprawie żadnego praktycznego znaczenia. Zresztą gdyby nawet sejm postępowanie władz potępił, sprawa musiałaby być wtedy poruszoną w Radzie państwa. Nakoniec nie chodziło tu wcale o honor narodu i władz polskich, ale o interesy Stańczyków, jak to otwarcie wyznał były minister Madejski, zaznaczając, że jego stronnictwo musi wziąć i bierze na siebie odpowiedzialność za to, co się dzieje w Galicyi.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 8. października.

Sprawa nadużyć w zarządzie Osad rolnych. Obawa wykrywania nadużyć w instytucjach polskich. Ciekawy przyczynek do charakterystyki koteryi ugodowców. Skutki skandalu i wpływ ich na opinię ogółu.

Od kilku miesięcy toczy się w pismach tutejszych zacięta polemika w sprawie nadużyć, popełnianych w zarządzie Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych dla małoletnich przestępców. Z zestawienia oskarżeń i odpowiedzi osób interesowanych wynika aż nadto widocznie dla każdego nieuprzedzonego, że w zakładach poprawczych, którymi zarządza Towarzystwo, działa się nadużycia i że gospodarka była, nie chcę powiedzieć świadomie nieuczciwą, ale nad wyraz niedołężną i daje uzasadnione powody do podejrzeń.

Szczegółów sprawy, którą pisma miejscowe dostatecznie i wszechstronnie wyjaśniły, nie poruszam, zaznaczę tylko, że najpobłażliwsi ludzie nie bronią wprost Towarzystwa, tylko dowodzą, że nie należało wyciągać nadużyć na światło dzienne, bo rząd skorzysta z tego i narzuci instytucji swoją kontrolę, lub nawet zagarnie jej fundusze i zakłady.

Otóż tę stronę sprawy należy przedstawić dokładnie, bo opinia publiczna jest na tym punkcie bardzo drażliwa. Istotnie jest rzeczą niebezpieczną wykrywanie nawet drobnych, osobistych nadużyć w tych instytucjach społecznych, które jeszcze możemy nazywać polskimi. Rząd bowiem może skorzystać i często korzysta z nasuwającej się mu sposobności i albo instytucję znosi, albo, nie poprawiając ujemnych stron jej działalności i nie wykorzystując nadużyć, zaprowadza swoją kontrolę, czyli, inaczej mówiąc, język rosyjski, gdyż na tem i na narzucaniu urzędników Rosyan kontrola rządowa zwykle polega. Ale zdarza się również, że robi to rząd bez żadnego uzasadnionego powodu, prosto w logicznym wyniku systemu u nas panującego. Dodać wreszcie można, że obawy publiczności są zwykle przesadzane, zdarzało się bowiem, że wykrycie nadużyć, nie pościągało dla instytucji, w których się one działy, żadnych praktycznych skutków.

Tymczasem, jeżeli nie wszystkie, to niektóre instytucje społeczne wyzyskują tę obawę publiczności i naturalną

niechęć kompromitowania spraw i urzędzeń naszych wobec Moskali, i, przykrywając się płaszczykiem patryotyzmu, chcą uniknąć wszelkiej kontroli obywatelskiej. Udaje im się to do czasu i udawałoby się dłużej, gdyby nie ta okoliczność, że korzystając z pomyślnego dla nich usposobienia opinii publicznej, przekraczają miarę nadużyć, którą cierpliwość ogółu znosić może. Nadchodzi wreszcie chwila, kiedy oburzenia hamować lub krzywdy dłużej cierpieć nie można i sprawa nadużyć na światło dzienne wychodzi. Gdyby krytyka wcześniej miała głos wolny, gdyby istniała u nas kontrola ogółu, nigdy skandal nie wybuchąłby tak gwałtownie. Przesadna obawa opinii publicznej utrudnia krytykę, ale nie może już później zapobiedz oskarżeniom, mającym zwykle charakter kryminalny.

Kiedy *Rola* wystąpiła z oskarżeniem zarządu Osad rolnych, pisma postępowe i niezależne z początku przypaływały się obojętnie tej wojnie domowej w łonie stronnictwa zachowawczego. Ale musiały zmienić taktykę, kiedy sprawa się rozrosła, kiedy wypłynęły na jaw krzyczące nadużycia i dowody występnego niedołęztwa.

Zarząd Towarzystwa Osad rolnych znajduje się w rękę tej koteryi wpływowej, która opanowała u nas lub opanować usiłuje wszystkie instytucje życia zbiorowego, wszystkie sprawy publiczne. Członkowie tej koteryi piastują urzędy honorowe lub płatne w rozmaitych instytucjach. Są między nimi ludzie, których działalność we właściwym zakresie mogłaby być, czasem nawet jest wielce pożyteczną. A byłaby stokroć pożyteczniejszą dla społeczeństwa, gdyby ją dobrowolnie ograniczyli i, nie biorąc zadań nad miarę sił, nietamowali innym inicjatywy, nie odsuwali ich od pracy, której sami wykonywać należycie nie mogą. W broszurze wydanej przed 10 laty i poświęconej sprawie specjalnej, jeden z techników warszawskich wykazał dowodnie zgubny wpływ tej zwartej koteryi na rozwój naszych stosunków społecznych i ekonomicznych. Należą do niej w znacznej liczbie ludzie przeżyci i starzy, a ich niedołęztwo ułatwia nadużycia żywiłom młodszym i energiczniejszym, które dla widoków osobistych czepiają się tej klikki i dzięki jej poparciu idą w górę.

Do niedawna była ta koteryja głównym sztabem stronnictwa zachowawczego, teraz oprócz tego jest widomem przedstawicielstwem polityki ugodowej. Nestor naszych ugodowców, p. Ludwik Górski, prezes komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego jest zarazem prezesem Towarzystwa Osad rolnych. Już ten fakt daje dostateczną rękojmnię i uspokoić powinien obawy opinii publicznej, że wykrycie nadużyć w zarządzie Osad rolnych nie ściągnie na instytucję represyi władzy. Zresztą jakież to są nadużycia? Jeden z głównych kierowników instytucji, b. profesor Miklaszewski, człowiek stary i żonaty, mianuje swoją, że tak powiem, »przyjaciółkę« na przełożoną zakładu wychowawczego dla zepnutych dziewcząt. Drugi tak nieudolnie administruje majątkiem, zapisanym Towarzystwu na określone cele publiczne przez hr. Kiekiego, że dobra (cztery folwarki), których wartość wynosi kilkaset tysięcy rubli, dały nawet w roku ostatnim deficyt, chociaż wszystkie dochody w ciągu kilkunastu lat obracano na podniesienie ich kultury. Dziewczęta w zakładzie poprawczym romansują z parobkami, chłopcy w Studzieńcu wyrastają na wytrawnych łotrów, lepsi nauczyciele i wychowawcy uciekają lub są wydaleny, a poprawą przestępców zajmują się nieraz jednostki, które również kwalifikują się do zakładów karnych, administracja funduszów jest marnotrawną lub nieuczciwą i t. d. Władza rosyjska z pewnością pobłażliwie wszystkie te zarzuty oceni. Czyż »przyjaciółki« osób wpływowych nie są u nas przełożonymi instytucji rządowych dla panien i gimnazyów

żeńskich, czyż w Instytucie maryjskim w Warszawie i w chełmskim nie zdarzają się dosyć często wychowywanym tam pannom »przypadki«, które z pewnością nie są rezultatem przyczyn nadprzyrodzonych; czyż nauczyciele w szkołach publicznych nie stosują studzienickich metod wychowania do dzieci, które żadnego występku nie popełniły, oprócz tego chyba, że są urodzonymi przestępcami politycznymi? A gospodarka finansowa Osad rolnych jest przecie tak typowo rosyjską, że żaden urzędnik, mający pojęcie o administrowaniu własności skarbowej lub publicznej, nie w niej zdrożnego, przekraczającego normę dopuszczalnej *nażiwy* nie znajdzie. Ludzie żyć muszą i żyją z instytucji, której przecie nie okradają, tylko legalnie biorą dla siebie tyle, ile im potrzeba. *Mann muss leben und leben lassen*, mówi przysłowie niemieckie, ale wymyślone zapewne przez jednego z tych Niemców, o których Szczedryn powiada, że mają »prawdziwie rosyjskie dusze«.

Pułkownik żandarmski Małychin, pierwszy wśród Rosyan warszawskich zwolennik polityki ugodowej i inicjator zbliżenia się do Polaków na wspólnym gruncie... ochrony zwierzyny, tak tłumaczył kiedyś tę sprawę: »Nie trzeba mówić o nadużyciach, bo może ich nie było, ale gdzie są pieniądze publiczne, to zawsze coś z nich przylgnąć musi. Jeżeli bierzesz pan gołą ręką kromkę chleba z masłem, to chociażbyś brał najostrożniej, chociażby ręka była zupełnie suchą, zawsze trochę masła na niej zostanie...«

Nakoniec czemu grozi wykrycie nadużyć Towarzystwu Osad rolnych, raczej tej kotery, która niem rządzi i odwołuje się teraz do uczuć patryotycznych ogółu? Czy język rosyjski będzie wprowadzony do manipulacji biurowej? Ależ pp. ugodowcy wyczekują przecie z upragnieniem samorządu miejskiego i ziemskiego z językiem rosyjskim, zawczasu więc tylko nabiorą wprawy. Czy będą musieli przyjąć kilku urzędników i oficyalistów Rosyan? W funduszach Towarzystwa i zapisach, którymi administruje, znajdzie się na zaspokojenie normalnego ich apetytu dostateczna porcja. Może wreszcie do komitetu i zarządu wejdzie p. Apuchtin lub inny dygnitarz rosyjski. Ci sami panowie, którzy do spółki z policyantami i urzędnikami rosyjskimi założyli Towarzystwo przeciwżebrazce, którzy chętnie grywają z Moskałami w karty w klubie myśliwskim, obradują w Towarzystwie racjonalnego polowania, mile powitają nowych kolegów i sposobność, ułatwiającą zbliżenie się dwóch społeczeństw. Jeżeli my mamy wejść »do środka państwa«, jak nam ugodowcy zalecają, to słuszną dopuścić w zamian Moskali do środka naszego społeczeństwa. Cała ta sprawa ma z jednego względu doniosłe znaczenie. Wykryty jeden epizod gospodarki społecznej tej klikki, która w naszym życiu publicznym zajmuje stanowisko przodujące, poucza poglądowo szeroki ogół o wartości moralnej tych sfer, które chcą nadawać ton polityce narodowej. Dziś kiedy sprawa została należycie wyswietloną, kiedy cenzura już jej przydusić nie zdoła, można powiedzieć otwarcie: dobrze się stało, że ściągnięto z piedestału, że odsłonięto niedołęztwo, przewrotność, szpetny egoizm i wszelkie brudy moralne tej właśnie grupy ludzi, która przedstawia w społeczeństwie naszym ugodowe dążenia polityczne.

Ci ludzie umieli otaczać się w oczach masy aureolą prawości osobistej i bezinteresownej służby publicznej. Dla masy uczeiwość ludzi, przedstawiających pewien kierunek polityczny, jest nieraz wystarczającym dowodem prawości i słuszności tego kierunku. Teraz nikt się już ludzi nie może, fakty przekonały że cała ta koterya jest zgniłą moralnie, że składa się w części z ludzi, dopuszczających się nadużyć występnych, w części z niedołęgów lub spekulantów, pobłażliwie ukrywających wykroczenia swych sojuszników. Kolegium współczesnych Katonów okazało się

w oczach publiczności omal nie bandą rzezimieszków. Są ogółu uczeiwych ludzi jest niewątpliwie dla spokojnego strzegacza zanadto surowy, zanadto uogólniający, ale ze względu na następstwa polityczne nie to nie szkodzi. Zdrowy instykt masy musi jej dopowiedzieć, że polityka, którą prowadzą ludzie nieuczeiwi, nie może być uczeiwa, a dla masy, jak zaznaczyłem, to kryterium wystarcza. Zresztą i dla ludzi inteligentnych wykrycie właściwego charakteru klikki ugodowców jest wskazówką bardzo pouczającą w orientowaniu się wśród prądów politycznych.

f.....k

Lublin we wrześniu.

Zdzierstwo i łapownictwo, jako rosyjskie cechy narodowe. Obdzieranie unitów. Siengalewicz-naturalista.

Słyszac w ostatnich czasach częste gawędy o możliwych w Rosyi zmianach politycznych, o oczekiwanej poprawie warunków bytu dla mieszkańców stumilionowanego państwa, myślę nieraz, jakiebys to mogly być zmiany, jak głęboko moglyby one sięgnąć w życie i zmienić stosunek rządu do obywateli. Między innymi usiłują częstokroć przedstawić sobie Rosyę bez dzzierstwa i łapownictwa, ówch podwalin dzisiejszego systemu rządzenia, i usiłują nadać remnie. Tego się nie zmienia, żadnymi ustawami nie usunie, bo dzzierstwo i łapownictwo, to nie składniki jakiegoś czasowego systemu, to znamiona charakteru narodowego, narodowej etyki, bez których Rosya nie byłaby chyba Rosyą.

Do rozwoju tej cechy w narodzie rosyjskim nie mało przyczyniły się warunki jego życia historycznego i źródła, z których czerpał swoją cywilizację. Zaraz na pierwszym wstępie do swego żywota, jeszcze w niemowlęctwie swego rozwoju, Ruś, późniejsza Rosya dostała w podarku popów greckich, którzy pod hasłem szerzenia wiary i oświaty potrafil tak dobrze chodzić koło własnych interesów, że — ku końcowi XVI wieku trzecia część całego obszaru państwa była ich własnością. Na pomoc popom zjawili się Tatarzy, którzy przez dwa z górą wieki z batem w rękę zaprawiali naród rosyjski do szczytnej roli, jaką miał w przyszłości odegrać w historii i drogo kazali sobie za tę naukę płacić. Później znowu przyszła kolej na Niemców, którym Piotr Wielki »otworzył okno« do swego państwa i którzy, jako naród bez zaprzeczenia bardziej humanitarny od Tatarów, z większą delikatnością przystąpili do oświecania swoich sąsiadów, dzięki czemu do ostatnich czasów nie utracili swego stanowiska i ciągle zasilają jeszcze potężną Rosyę znakomitymi mężami stanu i wojownikami.

Nie też dziwnego, że naród rosyjski mając ciągle przed oczyma takie przykłady, zaczął wreszcie i sam zapatrywać się na swoją ojczyznę jak na kraj zabrany i na współobywateli, jak na dojne krowy, a łapownictwo i dzzierstwo wszelkiego rodzaju weszło do tego stopnia w usposobienie narodu i w cały skład jego pojęć, stając się prawie potrzebą organiczną, że dziś człowiek niełapownik uważany jest za coś w rodzaju odstępcy sprawy narodowej, a nawet sam car w oczach ludu nie jest wolny od podejrzeń o łapownictwo. W tym sensie między chłopami gub. kurskiej, z powodu ostatniego straszego nieurodzaju i głodu, kursuje piosenka, w której bardzo niedwuznacznie wytykają carowi, że »porozumiawszy się« z dostawcami zboża, zezwolił na zamianę żyta i pszenicy kukurydzą. Każdą zwrotką kończy się dwuwierszem:

*Nasz car gołopuzoj,
Nakormił nas kukuruzoj.*

Myliłby się jednak, kto by przypuszczał, że podobne podejrzenia obniżają wartość moralną cara w oczach ludu.

Przeciwnie, za całe usprawiedliwienie w zupełności wystarcza już sam ten fakt, że po pierwsze znalazł się ktoś taki, kto chciał dawać, a powtóre że był on na stanowisku, które dawało możność brać. O człowieku nie odrzucającym darów bożych mówi się co najwyżej, że jest to »*łowiak djelec*« (majster), przytem mówi się, Boże broń, nie z myślą potępienia, lecz nawet z pewnem uznaniem. Zasłużyłby on na potępienie tylko w razie, jeżeliby brał za dużo, gdyż sprzeciwiałoby się to mądrej zasadzie, opartej na doświadczeniu życiowem i podanej w formie ojcowskiej rady: »*trudiś synok da prikradywaj poniennożku*«, aie koniecznie »*poniennożku*«, inaczej »*szczęśliw nie budiesz*«. Na grubszą skalę i już bez żadnej miary można obdzierać, ale tylko skarb i o ile zwykle łapownictwo uchodzi za mądrość życiową, okradanie skarbu aby śmiała i zrzeczne, wyrasta do stopnia bohaterstwa. Podobnych bohaterów dostarczają najwięcej lasy i koleje państwowe, mamy ich sporo i na naszym gruncie, poczynając od Brześcia litewskiego, a jak teraz z obsadzeniem linii Warszawa-Brześć urzędnikami Rosyanami, i od samej Warszawy.

Bezczelność tych bohaterów *sui generis* przechodzi istotnie wszelkie granice i nieraz, szczególnie na drogach poleskich (od Brześcia na wschód) pasażerów nieobeznaczonych z miejscowymi stosunkami, spotykają wymówki ze strony służby kolejowej za to, że kupują bilety, obniżając jej »prawne dochody«.

Takim mniej więcej duchem ożywione są w swojej działalności społecznej urzędujące sfery rosyjskie. O ile jednak na własnym swoim gruncie zachowują pewną miarę i nie wysysają od razu ofiary, aby się i dla innych coś zostało w myśl zasady, że noga nogę wspiera, o tyle przybywszy na służbę do *zapadnych okrań*, biorą stanowczy rozbrat ze wszelkimi niepotrzebnymi przesadami i poczytują sobie niemal za patriotyczny obowiązek wzbogacić się drogą publicznej kradzieży.

Tradycyjny frazes »zrobi się, jeżeli się da«, który został już dawniej przeszczepony na grunt polski i niestety przyjął się nawet między urzędnikami Polakami, dla działaczy rosyjskich już nie wystarcza i nie poprzestają na bojaźliwym ruchu palców, przypominającym liczenie pieniędzy, lecz każdemu interesantowi zupełnie otwarcie stawiają postulat: »dać trzeba w każdym razie, a czy się zrobi, to jeszcze zobaczymy«. Jakoż istotnie dawać trzeba wszystkim i za wszystko, poczynawszy od pisarzy gminnych aż do najwyższych urzędników, gdyż bez tego marzyć nawet nie można o załatwieniu sprawy lub będzie się ona ciągnęła przez całe lata.

Wprawdzie dość często można spotkać się ze zdaniem, że w każdym razie dla nas wygodniejsi są ci Moskale, do których można trafić przynajmniej za pomocą datku, a że są oni jednocześnie o wiele podlejsi od tych unikatów, którzy na rubla zezem patrzą. Mylnem atoli jest dopatrywanie się jakiejś różnicy między biorącymi i niebiorącymi, gdyż ci wszyscy, którzy udają katonów wobec rubla, miękną odrazu wobec dziesięciorublowki, a powtóre, jak u jednych tak i u drugich łatwość wyzysku zwiększa tylko apetyt i doprowadza do tego, że gotowi sami wskazywać możność przeprowadzenia jakiejś niemożliwej sprawy, byle tylko ten apetyt zaspokoić.

Zasługuje tu na przytoczenie wypadek, jaki miał miejsce z unitami w Lubelskiem. Widząc jak ci biedacy próbują rozmaitych dróg w celu odwrócenia od siebie grożącego im widma prawosławia, miejscowi popi na wspólkę z pisarzami gminnymi umyślili wyzyskać ich łatwowność i bezgraniczne przywiązanie do wiary i przez żydów faktorów zaczęli szerzyć pogłoski, że byle nie żałować grosza i trafić do przekonania popom, interes da się załatwić

pomyślnie. Akcja rozpoczęła się pod światłym kierunkiem popa Skrobańskiego z Otracza (w Janowskiem), osobistości zasługującej na to, aby jej tutaj przy sposobności parę słów poświęcić. Niegdyś pop ten był księdzem unickim i uchodził nawet za gorliwego patriotę. Gdy się zaczęło przeprowadzanie unitów na prawosławie i wielu miejscowych księży unickich wyemigrowało do Galicyi, wielbny Skrobański też zaczął wybierać się w drogę, opłakując los swoich biednych parafian, których musiał pozostawić na pastwę przyszłego prawosławnego popa Rozczuleni parafianie wraz z sąsiednimi obywatelami, oceniając należycie poświęcenie zacnego księdza, który dla idei skazywał się na ubóstwo i zostawił cały majątek, postanowili choć pod tym względem ulżyć jego losowi i przed wyjazdem rozkupili wszystkie jego ruchomości, podlicytowując się nawzajem w cenach. Wielbny Skrobański płakał jak bóbr, zbierał pieniądze drżącymi z rozczulenia rękami, w miarę jednak zwiększania się kapitału rozczulenie jego zmniejszało się, aż wreszcie kiedy ostatni jakiś stołek został sprzedany za bajeczną sumę i pieniądze przeszły do jego kieszeni, rozmyślił się nagle i został. Został, jak mówił, nie mając serca opuszczać tych, którzy mu okazali tyle miłości, wkrótce jednak, zapewne także z miłości dla parafian, zaczął używać tylko rosyjskiego języka i zaczął się podpisywać Skrobanskoj.

Ten to Skrobanskoj, dobrawszy sobie bardzo gorliwego i »zdolnego« pomocnika w osobie popa Ochotskiego z Uranwi (też w Janowskiem), zaczął z początku bardzo ostrożnie wyławiać za pośrednictwem żydów i wywicznonych w tym kierunku pisarzy gminnych, najbardziej łatwowne ofiary. Zwolna »interes« rozwijał się, ogarniając całe wioski, których ludność w przeciągu kilku lat opłacała stałą daninę na stemple, kopie, wrzekome podróże swoich patronów i t. p. Rezultatów tych starań nie było żadnych i nie mogło być, o czem inicjatorowie najlepiej byli przeświadczeni, ale dochody mieli niezłe, jeżeli jeden tylko chłop, jak mi sam mówił, wydał przez ten czas przeszło 300 rs. Nakoniec po kilku latach czy to wskutek tego, że wyzyskiwani stracili cierpliwość, czy też może jeden ze »stowarzyszonych«, pokrzywdzony w podziale zdobyczy, wydał innych. Dość że cała robota wyszła na jaw, naturalnie o tyle, o ile zazwyczaj podobne sprawy na jaw wychodzą, szajka została rozpedzona a główni jej kierownicy.. przeniesieni do innych parafii.

Zbyt nudną byłoby rzeczą, gdybyśmy na tem miejscu chcieli wylizać wszystkie wiadome fakty łapownictwa, o których tu każdy mówi i którym nikt się nie dziwi. Wielką byłoby zasługą, gdyby ktoś zabrał się do obliczenia, ile pieniędzy mieszkaniec naszego kraju wydaje na łapówki. Więcejby to czytelnika pouczyło, niż opowiadanie sensacyjnych wypadków, dowiedzielibyśmy się bowiem wtedy, jak doniosłą rolę gra ta plaga w naszym życiu.

U nas tu każdy mieszkaniec płaci daninę, a każdy urzędnik jest łapownikiem. Jest tylko ta różnica, że jedni biorą po parę groszy, inni po parę rubli, inni wreszcie setki i tysiące. Są wreszcie dżentelmeni, którym nie smakuje brutalna forma przybrudzonego rubla -- ci przekładają upominki w naturze, mające charakter bardziej niewinny.

Takich »naturalistów« najwięcej trafia się między urzędnikami, którzy zajmują stanowiska nieco poważniejsze, wymagające pewnego »szanowania się«, jak np. sędziowie, profesorowie i dyrektorowie gimnazyów i t. p. Do liczby zdecydowanych naturalistów należy między innymi i osławiony Siengalewicz, dyrektor gimnazjum lubelskiego.

Pedagog ten aczkolwiek przy sposobności nie gardzi i innym datkiem, najbardziej jednak lubi mieć do czynienia z cukiernikami i kupcami, którzy obowiązani

są bardzo skrupulatnie pamiętać o imieninach i innych świętach rodzinnych całego domu pana dyrektora. Naturalnie, przy załatwianiu każdego takiego interesu obie strony dla formy mówią coś o kredycie i terminach, choć jednocześnie starają się nie patrzeć na siebie, aby się nie rozśmiać sobie w oczy z niepotrzebnego udawania, gdyż ani stronom, dającym ani tembardziej biorącej nawet przez myśl nie przejdzie, żeby to kiedyś istotnie miało być uregulowane. I w rzeczy samej, jak fama niesie, przez cały czas działalności p. S. raz tylko zdarzył się wypadek, że pewien krawiec w świętej naiwności uważał wszystkie wzięte u niego garnitury jedynie jako zakredytowane i wybrał się kiedyś z rachunkiem. Naturalnie został też odpowiednio ukarany za swoją naiwność, bo nietylko że go zrzucano ze schodów, lecz musiał później sam jeden ponosić ciężar ubierania całego dyrektorskiego domu i mieć jeszcze ciągłą obawę, że rozgniewany pedagog lada chwila wydadli z gimnazjum jego syna. Wreszcie ciągły stan takiego naprężenia zbrzydził mu do tego stopnia, iż zdecydował się sam odebrać syna z pod światłej opieki pana Siengalewicza, nie zapomniawszy jednak przedtem odwdziżyć mu się pięknem za nadobne, i w braku schodów, wybiwszy jego osobą drzwi samego sklepu.

Zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy sądzą, że taki p. Siengalewicz byłby zgubiony, gdyby podobne fakty doszły do wiadomości władzy wyższej. Jest to złudzenie. Pan dyrektor jest ceniony przez Apuchtina, jako gorliwy, oddany inicjatywą wykonawca systemu powolnego mordowania naszej młodzieży. Jako taki, ma on przywilej na wszelkie nadużycia, na ździerstwa i łapówki, byle one nie obniżyły jego sprawności, jako działacza apuchtinowskiego.

Zresztą, rząd wie, iż Rosya stoi na zdziercach i łapownikach. Tępienie ich byłoby podcinaniem słupów, wspierających gmach, który tak dziś imponuje całej Europie.

W. Ż.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań 10 października

Sprawozdanie Banku ziemskiego. Wpływy hakatystów. Sprawa ks. Szaala. Goniec i Hanza. Drużyna ludowa uniwersytecka.

Walne zebranie akcyonaryuszów banku ziemskiego, odbędzie się 13 października; z ogłoszonego już obecnie sprawozdania dyrekcji przytaczamy niżej ważniejsze dane.

Uchwalona w r. ub. emisja 800 nowych akcji nie doszła do skutku w oznaczonym terminie i, jak wiadomo, odroczone została do 1 lipca z uchwały nadzwyczajnego zebrania. Już 13 czerwca zamknął bank zapisy, otrzymał bowiem od 562 osób 1096 zamówień na akcye. 366 akcji opłacono całkowicie, na 1 wniesiono 3 raty, na 35 dwie, na 428 jedną ratę, czyli razem za 800 akcji otrzymał Bank w gotówce 462 290 marek. Pozostałe wpłaty na 296 akcji zatrzymuje bank w depozycie, i jeżeli podpisujący zostawić je zechcą, płacić będzie od nich, jak od akcył dotychczas płaci, 4%. Zresztą wkrótce zapewne nastąpi nowa emisja 1000 akcji, która jednak według ustawy wtedy dopiero może być ogłoszona, kiedy dawne akcye całkowicie będą opłacone.

Powiększenie kapitału bankowego jest koniecznem, bo komisya generalna, która zajmuje się osadnictwem rentowem i do niedawna chętnie osadzała Polaków, obecnie pod wpływem nieprzychylnych nam prądów politycznych robi rozmaite utrudnienia i wymaga, żeby przy parcelacji większych obszarów część oddana była w ręce niemieckie. Warunek ten, ze względów narodowych dla nas niepożądany, unie-

możliwia częstokroć kolonizację, bo nabywców osad Niemców znaleźć bardzo trudno. Tych, co chcą osiąść na roli, werbuje komisya kolonizacyjna, która daje warunki korzystniejsze. Skoro więc parcelacja na przestrzeni przeznaczonej dla Polaków jest skończoną, a Niemców na resztę parcel znaleźć nie można, generalna komisya cofa swą pomoc i pozbawia osiedlonych gospodarzy polskich dobrodziejstw ustawy rentowej.

Dopóki komisya generalna działała bezstronnie, Bank pośredniczył tylko i załatwiał czynności wstępne, prędeziej więc wycofywał swój kapitał i mógł podejmować nowy interes. Teraz rozmaite utrudnienia, nietylko ze strony komisji generalnej, ale i ze strony władz miejscowych, które odmawiają wydania konsensów osadniczych lub umyślnie je opóźniają -- na dłuższy czas więżą kapitał obrotowy Banku, wskutek czego działalność instytucji rozwija się wolniej, niż w latach poprzednich. W roku sprawozdawczym 1895/6 osadzono tylko 60 kolonistów Polaków i sprzedano 1 064 hekt. gruntu w cenie 75 253 marek. Obecnie jednak, głównie dzięki nowej emisji ma Bank do rozkolonizowania obszar 8 000 hektarów i oprócz tego podejmuje kilka nowych interesów parcelacyjnych.

W rachubę niewchodzą interesy, które przy pomocy Banku prowadzą ziemskie spółki parcelacyjne.

Rachunek zysków i strat wykazał czystego zysku 65 362 marki od kapitału 1 200 000 marek. Z tej sumy przeznaczono na dywidendę 48 000 marek, na fundusz rezerwowy (5%) 3268 marek, na wynagrodzenie rady nadzorczej i zarządu 7 200, na fundusz nadzwyczajny 4 800, a 2094 m. zapisano na dochód roku przyszłego.

Wspomniałem poprzednio, że komisya generalna zmieniła postępowanie swoje względem Polaków pod wpływem panujących prądów politycznych. Hakatyści wciąż ją atakowali za to, że jakoby popiera kolonizację polską i w końcu postawili na swoim. Nietylko nasze pisma, ale nawet niemieckie, jak np. *Posener Zeitung* zaznaczają, że władze miejscowe pozwoliły steroryzować się hakatystom i z obawy denuncjacji w ich prasie słuchają pokornie komendy bractwa. Jeżeli postępowanie jakiego urzędnika Niemca nie podoba się hakatystom, zaczyna się natychmiast na niego naganka, a władza wyższa tómaczy się pokornie i obiecuje poprawić się na przyszłość. Jakkolwiek dziś nie ulega wątpliwości, że w zajęciu opalenickiem zawinił jedynie komisarz obwodowy i władza wyższa wie o tem doskonale, jednakże na żądanie hakatystów zabroniono na przyszłość nacelnikom stacyi udzielać pozwoleń na liczniejsze zgromadzenia na dworcach. Odtąd pozwolenia takie wydawać będzie główna dyrekcya kolejowa.

Przytoczywszy inne jeszcze fakty w tym rodzaju, *Dziennik poznański* w artykule, zatytułowanym »kto u nas rządzi,« dochodzi do wniosku, że »rządzi u nas nie regencya, nie naczelny prezes, tylko hakatyści, którzy za pomocą swoich przyjaciół w rządzie centralnym bezprzykładny wywierają terroryzm na władze krajowe.« Ta *Hintertreppennpolitik*, jak ją nazwały pisma niemieckie, rozzuchwala i demoralizuje niższe organy władzy, które wiedzą, że za wszelkie nadużycia, byleby »w duchu niemieckim« dokonane, kara ich nie spotka.

Ks. dziekan Szaal w Czarnkowie, uproszony przez rodziców, udzielał dzieciom po ze godzinami szkolnemi nauki religii w języku polskim. Ponieważ nie zawsze, z powodu czynności urzędowych miał czas na to, zastępowała go niekiedy szwaczka, która już dawniej pomagała proboszczowi w pielegnowaniu ubogich chorych. Policya zabroniła owej szwaczce zarówno nauczania dzieci, jak i spełniania dzieł miłosiernych, ponieważ należy do reguły św. Franciszka i pomaga jej czasem towarzyszka, co »nasuwa obawę utwo-

zenia zakonu«. Ani ksiądz, ani pomocnica jego do zakazu się nie zastósowali, skutkiem czego skazano ich na 60 marek kary, ewentualnie tydzień więzienia. Naturalnie ksiądz przeciw wyrokowi policji zaprotestował, szwaczka kary nie zapłaciła i chociaż termin dawno minął, nie została aresztowana. Ale od tego czasu, jak opowiada *Germania*, do ogrodu księdza dziekana, w którym bawiły się zwykle dzieci uczęszczające na naukę, przychodzili bezustannie policyjanci, nie mając na to jego pozwolenia, i to o rozmaitej porze dnia. Na zapytanie księdza dziekana, czy są zaopatrzeni w legitymację urzędową, odpowiedzieli, że żadnej legitymacji nie potrzebują, gdyż wolno im każdego czasu przychodzić do ogrodu. Mimo, że zwrócono im uwagę, iż tego rodzaju postępowanie uważać należy za najście domu, do zakazu się niezasosowali. W dniu 26 września wtargnął znowu jeden z policyjantów do ogrodu. Kiedy go ksiądz dziekan zawezwał, aby mu pokazał piśmienną legitymację, upoważniającą go do odwiedzania jego ogrodu, odpowiedział policyjant ironicznie, że otrzymał nawet rozkaz od bycia rewizji w mieszkaniu dziekana, nie potrzebując do tego żadnego piśmiennego upoważnienia.

Fakt nie ulega wątpliwości, niewątpliwem jest również, że postępowanie policji gwałci zasadnicze prawa obywatelskie. Ale władza winnych nie ukarze, bo obawia się krzyków hakatystów, co najwyżej nakaze teraz policji, żeby księdza nie nachodziła. Pod wpływem propagandy hakatystów tutejsza poczta prywatna »Hanza« wykazywać zaczęła dążenia germanizatorskie. *Gońcowi wielkopolskiemu* doniesiono, że w biurze Hanzy urzędnik nie chciał z chłopcem, posłanym po marki, rozmawiać po polsku. Sprawdziwszy ten fakt, *Goniec* wezwał natychmiast swoich czytelników, żeby z usług poczty prywatnej nie korzystali. Groźba poskutkowała, bo nazajutrz przybył do redakcji właściciel Hanzy, i oświadczył, że zakaz mówienia po polsku był »wyjątkowym pożałowania godnym wypadkiem, który się więcej nie powtórzy.« Korzystając ze zwycięstwa, *Goniec* żąda, żeby Hanza na egzemplarzach pism, rozsyłanych obywatelom, nie nazywała ulic po niemiecku. Trudno jednak wymagać tego od Niemców, jeżeli właściciele domów Polacy nie chcą na swych posiadłościach narożnych przybijać nazw ulic po polsku, chociaż nikt im tego zabronić nie może. Zająście z Hanzą zasługuje z tego względu na uwagę, że wskazuje skuteczność energicznego i solidarnego występowania wobec Niemców. Bojkotowanie Niemców, wrogo przeciw polakom występujących, osłabiłoby bardzo, a może nawet rozbiło organizację hakatystów.

P. Joachim Sołtys, rozwijając dalej swój projekt wszechnic ludowych, proponuje założenie towarzystwa »ludowej uniwersyteckiej drużyny« (L. U. D.), do którego należeć mogą wszyscy Polacy bez różnicy płci i wieku za roczną wkładką jednej marki. Celem towarzystwa jest urządzanie zgromadzeń publicznych i poufnych, wysyłanie mówców na odczyty i t. d. Pisma nasze zamiast ocenić szczegółowo projekt p. Sołtysa, zbyły go najczęściej krótkimi wzmiankami, a niektóre zawiązały polemikę, komu ojedwstwo projektu na gruncie wielkopolskim przyznać należy. O uniwersytetach i o pożytku z nich u nas oddawna i niejednokrotnie pisano, ale p. Sołtys rzucił myśl praktyczną, i zamiast sporów należy zająć się urzeczywistnieniem tej myśli, poprawieniem projektu w szczegółach, jeżeli to okaże się istotnie potrzebnem i jaknajrychlejszem zawiązaniem towarzystwa, które dopiero będzie mogło oznaczyć właściwy zakres swej pracy. Nizka wkładka ułatwi udział w stowarzyszeniu ludności najuboższej, i to nie tylko w naszej dzielnicy i stworzy najsilniejszą podstawę, którą dla każdej instytucji jest poparcie masy.

J. M.

Z Prus Zachodnich 8. października.

Sprzedaż Topolna Towarzystwa polskie. Zjazd nauczycieli katolickich. List ks. Szotowskiego.

Sprzedaż Topolna, które nabyła na licytacji komisya kolonizacyjna, jest w stosunkach naszych kłeską dotkliwą, bo w zagrożonym powiecie świeckim, w którym kilkakrotnie zwyciężał przy wyborach na przemian nasz lub niemiecki kandydat, ubył wielki majątek polski. Poprzednio kupiła już komisya w tym powiecie: Zbrachlin — 1700 morgów, Bukowiec — 9000 morgów, Pniewno 1900 i Julianowo — 1200 morgów. Topolno sąsiaduje ze Zbrachlinem, a trzy pozostałe majątki — ze sobą, przybyły więc w powiecie dużo już ziemczonym dwie wyspy niemieckie. Z 80 większych posiadłości 3 zaledwie zostały w ręku Polaków: Belno p. Parczewskiego, Lipienki p. Jaworskiego (kandydata na posła podczas ostatnich wyborów) i Rowienica p. Wilkansa.

Ze słuszną goryczą pisze *Gazeta grudziądzka*, że gdy przed rokiem zwracała uwagę na niebezpieczeństwo, grożące temu majątkowi, »niektórzy panowie obywatele« (a jest ich wszystkich trzech) »nie mieli wówczas dosyć słów oburzenia na to niewłaściwe postępowanie«. Ci pp. obywatele i właściciele majątku są głównymi winowajcami chociaż teraz starają się zwalić winę na Bank ziemski, że majątku nie kupił. Bank na zarzuty, przez niektóre pisma podniesione, sam zapewne odpowie, należy jednak z góry zadnąć, że ogłoszone przez osoby zainteresowane fakty wykazują niesłuszność oskarżeń.

Komisya kupiła Topolno za 480 czy 485.000 marek, czyli po 115 marek za morg pięknej, pszennej ziemi. Prawda, że właściciele chcieli majątek sprzedać Bankowi ziemskiemu, żądali jednak 770.000 marek, t. j. nie tylko pokrycia wszystkich długów, których suma wynosiła 714.000 marek, lecz dopłaty gotówką. Dodać zaś trzeba, że w ogólnej cyfrze długów były dwie sumy 135 i 30.000 marek, należące do członków rodziny dawnych właścicieli. Gdyby od razu właściciele ocenili położenie i zrzekli się części tych sum, Bank zapewne majątek by nabył. Ale państwo ci chcieli zrobić dobry interes na sprzedaży Topolna, bo w ich przekonaniu Bank ziemski powinien być instytucją ratunkową dla bankrutów szlacheckich. Jeszcze w ostatniej chwili postawiono dziwne żądanie, żeby Bank pożyczyl właścicielce sumy hipotecznej 135.000 m. p. Hulewiczowej pieniędzy na kaucję. W tej smutnej sprawie były dosyć komiczne sceny, kiedy n. p. pani Hulewiczowa stanęła do licytacji i okazało się, że nie miała 11.000 marek kaucyi, a nawet bodaj nie wiedziała, że kaucya jest potrzebną. Obecni przy tej scenie Niemcy ze śmiechem mówili: *eine solche Kopflosigkeit ist uns noch nicht vorgekommen*.

Przytaczamy te szczegóły, bo ci, którzy z własnej winy, przez własne niedołęstwo taką szkodę społeczeństwu i sobie samym wyrządzili, oczerniają teraz instytucję pożyteczną i pomimo krótkiego istnienia dobrze już zasłużoną. Ci zaś, którzy plotki rozmaite powtarzają, pamiętać powinni, że Bank musi być przede wszystkim instytucją finansową i najważniejszych nawet posterunków narodowych nie może ratować z widoczną stratą, a tymbardziej nie może ratować na zawołanie ofiar własnej lekkomyślności i niedołęstwa.

Wspomniane wyżej pismo ludowe, pisząc o sprzedaży Topolna, z oburzeniem i żalem dodaje: »Maluczko a tej ziemi nam nie starczy na groby, na przykrycie kości naszych, gdy je złożą na wieczny spoczynek. Straszna to rzecz, że gdy nasz biedny stan średni wszelkimi siłami, odmawiając sobie nieraz wszelkich prawie przyjemności, stara się przysparzać społeczeństwu sił materialnych, pa-

nowie obywatele często nierządem i karygodną lekkomyślnością o takie ciężkie je przyprowadzają straty».

Ten stan średni, który składa się u nas z kupców, przemysłowców i gospodarzy, z nielicznym dodatkiem inteligencji zawodowej, daje na szczęście coraz wyraźniejsze dowody swej żywotności. Towarzystwa polskie wciąż powstają, w r. b. kilka już powstało, a kilka w najbliższej przyszłości powstanie. Wielką zasługę mają w tej sprawie redaktorowie pism polskich, zwłaszcza p. Miński, redaktor *Gazety gdańskiej*, który gorliwie agituje za zakładaniem nowych towarzystw, nie zrażając się żadnymi przeciwnościami, i p. Kulerski z Grudziądza. Towarzystwa ludowe polskie, oprócz właściwych celów, mają zadanie uboczne ale bardzo ważne — rozbudzenie poczucia godności narodowej. Lud nasz ma świadomość swej polskości, ale uważa tę polskość za coś niższego, późniejszego od niemieckiej. Najłatwiej przeciwdziałać można temu w towarzystwach, gdzie już samo połączenie ludzi w gromadę nietylko wytworza łączność, ale i dodaje im otuchy.

Zjazd nauczycieli katolickich, który w tych dniach odbył się w Copotach, stwierdza poniekąd wygłoszone wyżej zdanie o braku poczucia godności narodowej i o nieśmiałości w obec Niemców. Na zjazd przybyło 300 nauczycieli, w tej liczbie względnie sporo Polaków, ale języka polskiego nie było słyhać nawet w rozmowach prywatnych, nawet podczas uczty koleżeńskej. Przewodniczył obradom znany germanizator, ks. oficyał Lüttke, dla tego może nie poruszono wcale na zjeździe tak ważnej, tak palącej u nas, ale zarazem tak niemilej dla ks. przewodniczącego sprawy niemieczenia dzieci w szkole, nietylko za pomocą nakazanego systemu nauczania, ale i za pomocą nauki religii. Żaden z nauczycieli nie ośmielił się zwrócić uwagi na konieczność uczenia małych dzieci w języku ojczystym, żaden nie wspominał ani jednym słówkiem o szkodliwości dzisiejszego systemu pedagogicznego, o ujemnym wpływie prądów politycznych na szkołę. A przecie nawet na Śląsku nauczyciele katolicy przemawiali w tym duchu i przemawiali dosyć śmiało. Niedarmo korespondent berlińskiej *Post* chwali ogół nauczycieli zachodnio-pruskich za ich niemiecki sposób myślenia.

Poucający przykład odwagi obywatelskiej daje zaony ks. dziekan Szotowski z Chmielna, w ogłoszonym w gazetach liście, odpowiadającym na czynione mu przez korespondenta *Post* zarzuty. Otwarcie przyznaje: »Zganiłem ludziom, że mi przynieśli napisy jak: »*Leicht sei dir die Erde*« i t. p. Takie bowiem i tym podobne napisy luterskie i masonskie nie na miejscu w kościele katolickim, i dziwić się tylko można, że nasi za swoje pieniądze takie byle co wkręcić sobie dadzą«. Głupiem i śmiesznem nazywa szanowny dziekan oskarżenie, że bywa na posiedzeniach towarzystw polskich i zawsze przemawia po polsku. Już w zeszłym roku publicznie go o to oskarżano bez skutku.

»Otóż jeśli ów pismak sądzi, że przez *Post* więcej co osiągnie, to na to oświadczam, iż latosia denuncyacja do Berlina tak mnie ni grzeje ni ziębi, jak przeszłoroczna mnie nie grzała ni ziębiła. Szkoda, że denuncyant nie dowiedział się, iż także niektóre z gdańskich dzieci po polsku przygotowałem i przyjąłem, a może nie dowiedział się przez to, iż do Chmielna przychodziły na naukę nie od kartuzkiej, ale od przeciwnej strony. Niechże tedy na tej drodze o tem się dowie, może mu to posłuży za temat do dalszych denuncyacji«.

List swój ks. Szotowski tak kończy »Lud kaszubski coraz więcej przeziera i porzuca swą dobroduszną i lekkość słowiańską, a przejmuje się w odwet zasadą niemiecką. »*Wer auf Gott vertraut und feste um sich haut, der hat nicht auf Sand gebaut*«. (Kto Bogu zaufa i silnie

w koło siebie rąbie, ten nie na piasku budował). A zatem w ślad za nimi śmiało napród!« Szkoda, że tacy księża należą prawie zawsze do starszego pokolenia, pomiędzy młodymi nie wielubym podobnych znalazło się, może nawet nie znalazło by się ani jednego. *M. Wil...*

Z GALICYI.

Lwów 13 października

»Dyskusya galicyjska« w parlamencie austryackim. Interpelacya Koła polskiego. Odpowiedź hr. Badeniego. Wniosek naglący dra Lewakowskiego. Rozprawa i głosowanie. Zarzuty prasy konserwatywnej. Odpowiedź rządu Rusinom.

Polityce stańczykowskiej i wysługującym się jej wierne organom władzy rządowej przypada wątpliwy zaszczyt wywołania w parlamencie austryackim pamiętnej »dyskusyi galicyjskiej«, która przez kilka dni z rządu toczyła się na tle znanych reskryptów starościńskich. Cały przebieg tych niezwykle charakterystycznych obrad, stanowisko, jakie galicyjska reprezentacya parlamentarna w Wiedniu ponownie zajęła wobec poruszonych nadużyć i wobec rządu, rola wreszcie, jaką przy tej sposobności odegrała nasza prasa konserwatywna, wszystko to na baczność zasługuje uwagę. Rzecz cała przedstawia się w następujący sposób.

Posłowie krakowscy dr. Sokołowski i dr. Weigel, czyniąc zadość wystosowanemu do nich przez wyborców na sejmiku relacyjnym wezwaniu, podnieśli na pierwszym posiedzeniu Koła polskiego 2. b. m. kilka jaskrawych wypadków pogwałcenia swobód konstytucyjnych i praw poselskich ze strony władz administracyjnych w Galicyi, i poruszyszy w szczególności sprawę reskryptów starosty Laskowskiego do posła Wójcika i bezprawne aresztowanie posła Nowakowskiego, wystąpili z żądaniem, aby ich upoważniono do stosownej interpelacyi do rządu. Wywiązała się z tego gorąca, ożywiona rozprawa w Kole, z zamienną o tyle, że mowy najrozmaitszych stronnictw, między nimi z konserwatywnych najkonserwatywniejsi, wszyscy zgodnie potrzebę interpelacyi uznali, zastrzegając się jeno, że nie czynią tego pod presją (?) Ostatecznie zapadła jednomyślna uchwała, że interpelować trzeba, ponieważ zaś interpelacya w imieniu całego klubu miała być wniesioną, poruczono tę drażliwą i wielce delikatną misję nowowybranemu prezesowi Koła eksministrowi Jaworskiemu, następcy p. Zaleskiego który zdecydował się wreszcie złożyć tę godność, rzekomo z powodu choroby uszu, w rzeczywistości zaś dla powszechnej antypatyj jaką sobie zaskarbił w czasie swej wydatnej działalności politycznej.

Jeżeli po uchwale powyższej na chwilę mogło się komu zdawać, że w Koło polskie zdrowy duch wstąpił naraz, że »wielka reprezentacya wielkiego kraju« przynajmniej teraz u schyłku swego sześćciolecia i przed nowymi wyborami dla zyskania utraconej popularności w kraju zdoła się na krok stanowczy i raz przecie z godnością spełni obowiązek stróża swobód obywatelskich, to treść i brzmienie interpelacyi, wniesionej następnego dnia w Izbie poselskiej, musiały rozwiać wszelkie złudzenia co do szczerości uchwały Koła i pobudek, jakimi się większość klubu powodowała. Akt, który miał zaimponować pozorami energii i samodzielności wobec rządu, równocześnie obliczony na oszczędzenie rządowi wszelkich ambarasów i nieprzyjemności, musiał wypaść blade, jałowe, mdłe, nie mógł też żadną miarą dodatniego sprawić wrażenia. Niestychanie ostrożna i licząca się ze słowami interpelacya Koła, podaje najpierw w wątpliwość, czy odnośne reskrypty starostów są autentyczne, mimo że nikt ich autentyczności nie zaprzeczył, następnie zwraca się niejako z wymówką do rządu, że

skoro na zgromadzeniach ludowych bałamucono ludność i pobudzano do nienawiści społecznej, to należało je rozwiązywać, nie zaś w sposób przeciwny ustawom zabraniać postom odbywania dalszych zgromadzeń, zapytuje w końcu: »z jakich powodów władze polityczne, wykonując obowiązek czuwania nad spokojem i porządkiem publicznym, zamiast środków pozewidzianych w ustawie, chwyciły się środków, które nie odpowiadają konstytucyjnie zagwarantowanym prawom«.

Innemi słowy, zdaniem Koła na potępienie zasługiwała nie sama zasada targnięcia się wykonawczych organów rządowych na nietykalność relacyjnych sejmików poselskich, lecz tylko forma, w jakiej się to dzieje, zbyt jaskrawa i niezręczna!

Odpowiedź hr. Badeniego łałwo było przewidzieć. Były namiestnik galicyjski, obecny prezydent ministrów austriackich, jak wiadomo, nie znosi najlżejszego oporu ze strony tych, których zawsze na usługi mieć może, a w razie nieposłuchu ceremoniować się nie lubi. Wiedział zapewne, jak ciężko było prezesowi Koła wykrztusić nieszczęsną interpelację, nie mogąc jednak darować Kołu tego aktu rozpaczliwej odwagi, obszedł się z interpelantami we właściwy sobie sposób lekceważący i arbitralny, odpowiedział w tonie wyniosłym. Część interpelacji, o ile dotyczyła bezprawnego uwięzienia posła Nowakowskiego, zbył hr. Badeni lakonicznem oświadczeniem, że sprawa jest przedmiotem rekursu, wniesionego do namiestnictwa i nie doszła jeszcze do wiadomości ministerstwa. Zaś co do sejmików posła Wójceika, przyznał słusność namiestnictwu, że zatwierdziło zakazy p. Laskowskiego, ponieważ Wójceik na zgromadzeniach rzekomo podburzał lud przeciw władzom i pewnym klasom ludności, co mogłoby zakłócić spokój i porządek publiczny. Jedyne motyw, że »poseł Wójceik zdaniem starostwa dość już sprawozdań złożył«, namiestnictwo odrzuciło, jako bezprawny. W konkluzji obwieścił minister parlamentowi zupełnie nową zasadę konstytucyjną, że »tak zakazywanie jak rozwiązywanie zgromadzeń jest ustawą w równym stopniu uzasadnione, a wybór każdego z tych środków w poszczególnych przypadkach musi być pozostawiony organom administracyjnym...«

Trudno nie przyznać, że odpowiedź ta, zwłaszcza w ustępie końcowym, była w wysokim stopniu dla Koła upokarzającą. Widocznie atoli wrażliwość pod tym względem jest u zachowawców galicyjskich mocno przytępiona, odpowiedzi bowiem prezydenta ministrów nie tylko żadnej ze strony Koła nie poddano krytyce, ale przyjęto ją bez zastrzeżeń, a raczej z zadowoleniem, »solidarnie« do wiadomości, i tem samem odarto interpelację nawet z tych resztek i pozorów formalnej powagi, którą bądź co bądź miała jako głos całego klubu liczebnie znaczącego.

I sprawa w ten sposób byłaby ostatecznie ubitą ku wzajemnemu prawdopodobnie zadowoleniu, gdyby jej nie był podniósł niezależnie od interpelacji Koła, śmiało i jasno poseł Lewakowski. O zarzutach, jakie go z tego powodu spotkały, niżej nieco pomówimy, tu tylko nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że między innemi posadzono dra Lewakowskiego, iż uczynił to dla podniesienia własnej popularności i z pobudek wyłącznie osobistych. Podobny zarzut jest w gruncie rzeczy śmieszny i błahy, a spotykał zawsze i wszędzie każdego, kto miał odwagę wystąpić publicznie przeciw panującym sferom czy osobom w obronie warstw społecznie lub politycznie upośledzonych. Jest on nawet do pewnego stopnia zrozumiały ze strony tych, którzy sami dla osobistych widoków własną popularność w społeczeństwie systematycznie podkopują, a w wyborze środków do zwalczania przeciwnika niewygodnego, bo mówiącego prawdę w oczy,

są, jak wiadomo, nie bardzo wybredni. Tym razem przeciwnik był naprawdę groźny.

Poseł Lewakowski skorzystał ze swobody słowa, jaką mu zapewnia nienależenie do klubu, »solidarnie« każdy rząd popierającego »z zasady«, i w pełnej Izbie wystąpił z wnioskiem nagłym, który umożliwił dyskusję, wielce nieprzyjemną dla strony przeciwnej. Wniosek streszczał się w wezwaniu rządu, aby 1) ludność galicyjską ochraniał przed nadużyciami władz administracyjnych przy wykonywaniu poręczonych jej ustawami zasadniczymi konstytucyjnych praw politycznych, aby 2) wobec tych władz zabezpieczył prawo nietykalności galicyjskich posłów do Rady państwa i do Sejmu, wreszcie 3) aby ponoszących w tej mierze winę starostów pociągnął do odpowiedzialności i odpowiednio ukarał.

Nagłość wniosku uzasadniał dr. L. słusznem przemówieniem, które zwróciło na siebie uwagę całej Izby. Interpelację Koła ocenił jako niegodną wielkiego stronnictwa politycznego, jest ona wszakże dowodem, że już nawet najkonserwatywniejsze sfery w kraju zaczynają oburzać się postępowaniem galicyjskich władz politycznych. Reskrypty starostów naruszają konstytucję i uchodzą bezkarnie, a wzrastająca ich liczba znamionuje system, który nigdy tak silnie społeczeństwu odczuwać się nie dał, jak niestety od czasu, gdy terażniejszy prezydent ministrów był jeszcze namiestnikiem Galicji. System ten wywołuje powszechne w kraju rozgoryczenie. Mowca przytoczył z kolei cały szereg nadużyć, jakich samowolnie dopuszczają się funkcyonariusze rządowi, zwłaszcza w obec stronnictwa ludowego, które poucza włóścian o prawach konstytucyjnych. Podniósł z szeszciorocznych wyborów do Sejmu jaskrawe fakty przekupstw, aresztowań bezprawnych, zakazów, rewizji i szykan. Wskazał po imieniu starostów krakowskiego, przemyskiego, gorlickiego, niskiego, kroieńskiego, wielickiego, bialskiego i innych, dowodząc na faktycznych przykładach, że oni postępowaniem swoim konsekwentnie powagę władzy państwowej podkopują. Odwołał się w końcu do poczucia sprawiedliwości ministrów i do sumienia politycznego wszystkich stronnictw parlamentu o poparcie nagłości wniosku, którego celem jest wystąpienie przeciw krótkowidzącej reakcji rządu i ochrona najcenniejszych swobód obywatelskich.

Mowa dra Lewakowskiego zrobiła silne wrażenie w całej Izbie poselskiej. Rozpoczęła się gorąca rozprawa, zabierali głos przedstawiciele wszystkich niemal stronnictw i klubów. Bezpośrednio po wnioskodawcy posłowie Romańczuk i Pernerstorfer uzupełnili poprzednią wiązaną faktów nowymi, analogicznymi szczegółami. Hr. Badeni nie uznał za stosowne odpowiedzieć na zarzuty we własnej osobie, skazał raczej na ofiarę młodego dygnitarza ministeryalnego, który wszakże brakiem taktu i naiwnością swoich wynurzeń pokpił sprawę kompletnie. W dalszym ciągu dyskusji dnia następnego w obronie rządu stanęli pp. Madeyski i Wachnianin. Pierwszy w imieniu Koła polskiego (!) skwalifikował wniosek dra Lewakowskiego jako objaw »destrukcyjnej działalności, która sztucznie rozrywa społeczną jedność narodu«, ubolewał, że »walka przeniesioną została do parlamentu w sposób uwłaczający (?) honorowi kraju« i dla odparcia »napaści« szumnie idealizował rzekome zasługi (?) swych przyjaciół politycznych około »intelektualnego i materialnego podniesienia ludu«, potępiając zarazem z namaszczeniem ruch chłopski, który »zespolił się z dążnościami radykalnemi«, — i w namiętnych, osobistych wycieczkach przeciw wnioskodawcy stracił do reszty poczucie własnej godności. P. Wachnianin, który w niedługiej swej działalności poselskiej już się doczekał wyraźnego *voitum* nieufno-

ści od wyborców, przedstawił się jako *Regierungsruthene* bez zarzutu, piorunował na ateizm, komunizm, prądy podziemne i tym podobne bezeceństwa, i bronił równocześnie reskryptów starościńskich z zapalem aspiranta na hofrata, a zmysłem politycznym — tenora. Wywody obu szermierzy rządowego bezrządu sprawiły efekt wprost przeciwny zamierzonemu. Łatania tego, co niezręcznie popsuli pp. Madeyski i Wachnianin, podjął się minister dla Galicji dr. Rittner, i w spokojnem przemówieniu które, trzeba przyznać, korzystnie odbijało od tamtych, zastrzegł się jedynie przeciw uogólnieniu epizodycznych faktów, dodał atoli, że czynny udział ludu w życiu publicznem uważa za pocieszający znak ogólnego postępu i za dowód wzrastającej samowiedzy politycznej. Przemawiali jeszcze na poparcie wniosku młodocześni Purghardt i Vaszaty, w imieniu lewicy niemieckiej Funke, w imieniu antysemitów Lueger i po raz wtóry dr. Lewakowski i Romańczuk, — wreszcie przystąpiono do głosowania, w którym za wnioskiem oświadczyło się 106, a przeciw niemu 78 posłów. Na tę drugą cyfrę złożyły się przeważnie głosy Koła polskiego, które wystąpiło »solidarnie«, nie wyłączając »demokratów« w rodzaju Szczepanowskiego, Rutowskiego, Lewickiego i innych. Pp. Sokołowski i Weigel wstrzymali się od głosowania...

Podtrzymała więc wniosek dra Lewakowskiego poważna większość Izby, a choć z powodu przypadkowej nieobecności wielu posłów młodocześkich, którzy wyjechali na pogrzeb Juliusza Gregra, zabrakło mu kilkunastu głosów do większości dwóch trzecich, jaką regulamin przepisuje dla uchwalenia nagłości wniosków, mimo to wynik głosowania oznaczał niewątpliwie zwycięstwo zasady prawdziwej obywatelskiej swobody a dotkliwą klęskę moralną rządu i dobitne potępienie sprzecznych z ustawami konstytucyjnymi praktyk jego organów wykonawczych.

Bolesnie odczuła ten wynik, bądź co bądź w parlamencie austriackim niezwykły, galicyjska prasa konserwatywna, a pragnąc i teraz jeszcze wszelką zmyć winę z rządu i siebie, jako winnerki tegoż popleczeniżki, rzuciła się z pasyą na dra Lewakowskiego, obsypała go obelgami, posadziła o czyn niepatryotyczny, niemal o zdradę narodową. Obelga jest bronią, dla szanującego się dziennikarstwa niedostępną, pomija się ją zwykle milczeniem, bo świadczy ona tylko o niskim poziomie etycznym tych, którzy się nią posługują. Fakt ukazania się na szpaltach dzienników zachowawczych tego rodzaju broni, jest najlepszym dowodem, że dr. Lewakowski wnioskiem swoim trafił w sedno, że wystąpienie jego było skuteczne. Można by również przejść milcząc o obok zarzutu niepatryotycznego działania ze względu na źródło, z którego ten zarzut wyszedł. Wytoczyła go ta część prasy, która wielki poszkwił Kozmiana o roku 1863 jako wzór prawdziwego patryotyzmu, a zasadę trojlojalności podnosi jako hasło jedynie zbawiennego dla narodu samobójstwa politycznego. Kta takim zasadam hołduje i takie hasła głosi, ten odłącza się właściwie sam od wszelkiego patryotyzmu i traci prawo wyrokowania o patryotyzmie drugich. Ponieważ jednak w społeczeństwie naszym ślepa wiara w drukowane słowo przeważa często nad trzeźwym, bezstronnym sądem i czytający ogół, nie przywykły do krytycyzmu, idzie nieraz na lep dziennikarskich frazesów, bo nie podejrzewa w nich rozmyślnej tendencji mydlenia oczu, wypada rozpatrzyć pokrótce i ocenić argumenty, jakie na dowód rzekomej zdrady posła Lewakowskiego podnoszą ci, których niechęć do niego, ujawniona po raz pierwszy z powodu pamiętnego protestu przeciw uczeniu pamięci cara Aleksandra III w austriackim parlamencie, dostatecznie jest znana.

Do frazesów takich, obliczonych na łatwowierność czytelników, należy przedewszystkiem twierdzenie, że »nie

godzi się przed obce, nieprzyjazne nam żywiły wywlekać *naszych* spraw domowych i waśni stronnicych« czyli mówiąc utartym zwrotem, nie godzi się »prać *naszych* brudów w Wiedniu«. Podobny zarzut uczynić może posłowi Lewakowskiemu tylko zła wola albo zupełna nieznanomość administracyjnego ustroju Austrii. Powodem wystąpienia posła były nadużycia, popełnione przez władze rządowe w Galicji. Nie »nasze« to władze, choć w rękę Polaków spoczywają, ale austriackie organy austriackiego rządu, który tak samo nie jest rządem polskim, ale austriackim, aczkolwiek chwilowo Polak stoi na jego czele. Poseł Lewakowski nie wystąpił też ani przeciw osobom starostów, jako Polaków, ani przeciw osobie hr. Badeniego, jako Polaka, lecz przeciw wykonawczym władzom rządowym, zależnym bezpośrednio od namiestnictwa i ministerstwa, podlegającym wyłącznie kontroli parlamentu. Rada państwa, w szczególności Izba poselska jest jedynem *forum* właściwem do oskarżania władz administracyjnych o nadużycie lub gwałcenie ustaw, tylko przed nią bowiem rząd odpowiada zarówno za siebie, jak i za podwładne swoje organy. Wszakże przed tem samym *forum* wystąpiło Koło polskie i nikt mu zarzutu z tego nie czyni. Zasadniczo rzecz biorąc, nie było właściwie różnicy między interpelacją Koła a wnioskiem Lewakowskiego, oba wystąpienia zwracały się przeciw tym samym organom tego samego rządu, ton tylko i forma oskarżenia była w obu wypadkach odmienna.

Dlaczego spraw takich nie załatwiać raczej w sejmie? pytają znowuż ci, którzy zapominają, albo nie wiedzą, że wykonawcze władze rządowe nie są przed sejmem odpowiedzialne. Głos reprezentacji krajowej mógłby niewątpliwie mieć pewną doniosłość polityczną, ale praktycznego znaczenia pozbawiony, następstw pozytywnych wywołać nie jest w stanie. Zresztą sejm galicyjski, gdyby nawet miał prawo bezpośredniej kontroli nad organami rządowymi, w dotychczasowym swym składzie nie zdobyłby się z pewnością ani na potrzebną bezstronność sądu, ani na odpowiednią siłę wystąpienia. Że tak jest, dowodzą klasyczne przykłady z niedawnej przeszłości, dowodzi między innymi smutnej pamięci uchwała sejmu, zatwierdzająca wybór posła gorlickiego hr. Skrzyńskiego, przeprowadzony, jak wiadomo, wśród nadużyć, ponad wszelką wątpliwość stwierdzonych.

Jeżeli więc poseł Lewakowski wytoczył sprawę przed Izba poselską, to uczynił tylko to, co w danym razie było możliwem i wskazanem, jeżeli zaś niezależnie od interpelacji Koła wniesionej, *ut aliquid fecisse videatur*, zdecydował się wystąpić otwarcie, bezwzględnie i śmiało w obronie ludu, budzącego się do politycznego życia, jeżeli nazwał przytem rzecz po imieniu i niewątpliwie prawdziwy roztoczył obraz panujących w Galicji stosunków, to mu za zasługę raczej poczytać, bo sprawił się tak, jak przystało na posła niezależnego i szczerze demokratycznego. Nie on winien temu, że w mnóstwie analogicznych faktów dopatrywał się systemu i metody stałej, z góry obmyślanej i nakazanej, ani że rozprawa tak szerokie w Izbie poselskiej przybrała rozmiary i zakończyła się w sposób intencyjnym rządowym przeciwny. Zapewne, cała ta »dyskusja galicyjska« w austriackim parlamencie nie musiała być miłą hr. Badeniemu, jako prezesowi gabinetu, którego podwładnych stawiono pod pręgierz, i nie mogła być przyjemną dla nas szczególnie z tego powodu, że właśnie Polacy na stanowiskach rządowych dopuszczają się czynów, zasługujących na publiczne potępienie. Jedynym wszakże winowajcą jest w tym wypadku rząd, który, tolerując i sankcjonując praktyki niekonstytucyjne, dał słuszny skargom podstawę. Jeżeli zaś hr. Badeni, jak należy się spodziewać, doświadczeniem pouczony, nie zechce narażać się po raz wtóry na podobną kompromitację w Izbie, jeżeli zerwie z systemem

dotychczasowym i nakaże swym podwładnym organom uznać także rację bytu ustaw konstytucyjnych, to w znacznej części będzie rzetelną i niewątpliwą zasługą wniosku dr. Lewakowskiego.

Wniosek ten pozostanie nadto wymownym dowodem i wskazówką na przyszłość, że aby spełnić sumiennie wolę wyborców i o krzywdy wyrządzone przez władze upomnieć się z całą energią i ze skutkiem, potrzeba wyłamać się w pierw z solidarności koła. Prawdziwie niedźwiedzią przyszłą służbę wyrządzają w swem reakcyjnym zaślepieniu zasadzie bezwzględnej solidarności ci wszyscy, którym najwięcej na niej zależy.

Przed kilku dniami dopiero otrzymali Rusini galicyjscy odpowiedź rządu na memoriał, w grudniu z r. wręczony przez osobną deputację cesarzowi, ze skargami na nadużycia władz przy ostatnich wyborach do Sejmu. W reskrypcie tym, pisanym po niemiecku (!) hr. Badeni zawiadamia skarżących się, że wyczerpujące dochodzenia nie mogły usprawiedliwić podniesionego w memoriale zarzutu rozmyślnego, systematycznego, na wskazówkach z góry opartego ukrócenia praw konstytucyjnych, bo przytoczone wypadki były bądź nieuzasadnione faktycznie lub prawnie, bądź znalazły usprawiedliwienie w procedurze wyborczej, bądź wreszcie nie zostały należycie w śledztwie stwierdzone. O ile jednak jednak z zarządzonych dochodzeń pokazały się tu lub ówdzie nieprawidłowości, popełnione przez poszczególnych funkcyjonaryuszów, to rząd obiecuje, że »będą wydane potrzebne zarządzenia, ażeby na przyszłość zapewnić pod każdym względem zgodne z przepisami postępowanie przy wyborach i uchylić wszelki pozór do skarg...« Rzecz charakterystyczna, że jak pisma ruskie zapewniają, z powodu memoriału i przytoczonych w nim szczegółów żadnych w ogóle dochodzeń nie przedsiębrano. Widocznie więc ktoś tu z prawdą się rozminął.

Prawdżic.

Z KRESÓW.

Śląsk górny 6 października.

Proces *Lutni*. Śpiew i polityka. *Sokół* bytomski. Szykany policyi. *Semicka* zajadłość *Tageblattu* katowickiego. Odpowiedź niewiasty. Teatry amatorskie. Wyrok trybunału berlińskiego. Wyróżnienie rekrutów.

Procesy sądowe, szykany władz oraz ujadanie się z gazetami, napastującymi nas na każdym niemal kroku, oto treść główna życia naszego. Nie przeklinamy tego jednak, bo to nie pozwala nam zapadać w śpiączkę, rozbudza bądź co bądź świadomość narodową w masach, wzmacnia hart ducha i zachęca do solidarnego, zbiorowego działania. W końcu września stawał oto przed sądem w Katowicach cały zarząd towarzystwa bogucickiego »*Lutnia*«, złożony z siedmiu członków, oraz p. T. Lew., będący nauczycielem śpiewu w tem towarzystwie Ludzie ci, według zdania policyi i prokuratora, popełnili następujące dwie zbrodnie: 1) że należąc do towarzystwa politycznego (!) nie wypełniali przepisów prawnych, obowiązujących takie towarzystwa i 2) że w skardze do Wydziału powiatowego przeciwko rozporządzeniom »amtowego« dopuścili się obrazy tego urzędnika. Sąd katowicki skazał wszystkich członków zarządu po 30 marek każdego, za niezachowanie przepisów i po 30 marek za obrazę »amtowego«. Pan Lew. został od odpowiedzialności uwolniony, jako do zarządu nie należący.

Tę samą sprawę na krótko przedtem rozpatrywał wydział obwodowy w Opolu, ponieważ zarząd »*Lutni*« dochodził swego prawa nie tylko na drodze sądowej, ale i na

administracyjnej. Wydział obwodowy wszakże uznał »*Lutnię*« za towarzystwo polityczne. W motywach tej rezolucyi wydział obwodowy zupełnie tej samej trzymał się logiki, co sąd katowicki. Dowodami, stwierdzającymi niezbitcie polityczność tego towarzystwa, były między innymi następujące szczegóły: na szafie, mieszczącej się w lokalu »*Lutni*«, znajdował się początkowo napis *Bogutschütz*, co zarząd uznał za właściwe usunąć i przybić na to miejsce napis *Bogucice*; drugim dowodem polityczności stowarzyszenia jest ten niemiły dla władzy zwyczaj, wprowadzony wśród członków na zasadzie uchwały ogólnie zapadłej, że każdy członek, który użył w rozmowie jakiegokolwiek wyrazu nie czysto polskiego, to jest właściwie niemieckiego, zaopatrzonego tylko w końcówkę polską (np. iberzecować), musiał płacić po 5 fen. kary; innym znowu dowodem, mającym stwierdzać polityczny charakter towarzystwa, jest to, że *Lutnia* śpiewała pieśni polityczne, a mianowicie: »Piękna nasza Polska cała«, co przetłómaczone z całą świadomością na »Schön ist ein ganzes Polenreich«, aby uzasadnić oskarżenie. Tłómacz sądowy, przystępując do przełożenia tej pieśni na język niemiecki, oświadczył, że tego nie potrafi, ponieważ jest napisana *wysoką* polszczyzną (hochpolnisch). Przewodniczący sądu skorzystał z tego, wyrażając zdziwienie, że oskarżeni potrafią tak dobrze mówić *wysoką* polszczyzną i uznał tę okoliczność, jako jeszcze jeden dowód więcej, że *Lutnia* jest towarzystwem politycznym, bo uprawia agitację wielkopolską.

Oskarżeni bronili się sami, kategorycznie zaprzeczając temu, aby towarzystwo wdawało się w politykę, ponieważ zajmowało się tylko nauką śpiewu kościelnego i świeckiego. »My nie jesteśmy helotami — mówili do sędziów — lecz takimi samymi obywatelami kraju, jak inni. Protestanci mogą robić, co im się podoba, a tylko katolików się ogranicza w ich prawach, i ostatecznie w całej tej walce chodzi nietylko o polskość, ile o katolicyzm«. W wyroku sądu zaznaczono, że *Lutnia* nietylko wywiera wpływ na sprawy publiczne, ale najwyraźniej ma na celu dążności wielkopolskie. Zarząd *Lutni* oczywiście założył apelację od wyroku.

Poprzedniej niedzieli w Bytomiu tamtejsze polskie towarzystwo gimnastyczne *Sokół* obchodziło pierwszą rocznicę założenia swego. I tu nie obyło się bez szykan ze strony policyi. Cały obchód miał charakter cichej, prywatnej zabawy, brali w nim udział tylko goście listownie zaproszeni, mimo to przybyło nań trzech żandarmów z jednym policyantem oraz komisarz pograniczny. Pierwsi trzej byli obecni przez cały czas zabawy i wciąż bacznie śledzili, czy nie dzieje się co zdrożnego. Kiedy w przerwie pomiędzy tańcami kilkanaście osób utworzyło koło i zaczęło się bawić w grę zupełnie niewinną, do której przyspiewuje się piosenkę »Lata ptaszek po ulicy«, policyant przybiega z sąsiedniej izby szynkowej i na cały głos wrzeszczy, aby przestano śpiewać, ponieważ nie uprzedzono policyi, że będą też śpiewy. Wtedy ktoś z dowcipniejszych zapytał, czy byłoby wolno śpiewać pieśni niemieckie, na co policyant z całą otwartością oświadcza, że owszem wolno. Ten drobny fankik najlepiej pokazuje, jakiego rodzaju prawo panuje nad nami.

Według innej wersji zaszyły tam jeszcze następujące epizody. Na sali, gdy się wszyscy goście zebrali, kazano poodpinać sokoliki i wstążeczki z nazwą gniazda. Przy końcu zawezwał jeden z żandarmów kapelmistrza, aby zagrał »Heil dir im Siegenkranz«, co tenże natychmiast wykonał. Gazety niemieckie piszą, że *zum grossen Gaudium der Beamten* Polacy śpiewali ową melodyą. Żeby śpiewali istotnie, tego nawet nie przypuszczam, bo dziwnieby to nie licowało z polską ideą sokolską, ale faktem jest, że wszyscy

melodyi tej wysłuchali »wzorowo i spokojnie«, jak się wyraża *Katolik*, który dumny jest z tego, że Polacy nie urządzili burdy. Za burdami i my nie jesteśmy ale należało zdobyć się na tyle odwagi cywilnej, której Sokołom brakować nie powinno, aby z pierwszymi akordami tej melodyi w porządku opuścić salę, co tymbardziej było łatwym do zrobienia, że już w owej chwili dzień biały nastawał. W każdym razie postępek owego żandarma będzie również rozpatrywany na drodze sądowej, bo jasnym jest, że żandarm wmieszał się w stosunki prywatne towarzystwa, do czego najmniejszego nie miał prawa.

Polakożerze gazety miejscowe coraz zajadlej występują przeciwko nam. Prym w tej barbarzyńskiej hecy trzymają najczęściej żydowskie piśmidła. W ostatnich dniach najbardziej w tym kierunku odznaczył się katowicki *Oberschlesischer Tageblatt*. Słusznie *Katolik* przestrzega, aby Żydzi zaprzestali hecy przeciwko wszystkiemu, co polskie, bo dzwoniąc na walkę z Polakami, mogą się dodzwonić czegoś, co Żydom miłym nie będzie. »Niech Żydzi katowicki — mówi polsko-katolicki organ — nie zapominają, że między Niemcami, po których stronie najniepotrzebniej i wcale nieproszeni stają, jest wielu antysemitów nieprzedjanych i że niedługo przyjsć może czas, iż położenie Żydów stanie się gorsze, niż Polaków obecnie«. Warto zaznaczyć, iż ów *Tageblatt* przedewszystkiem księży czyni winnymi »rozsiewania dążeń wielkopolskich«, chociaż między naszymi księżmi patriotów, idących przebojem naprzód, na palcach policzyćby można.

Takie napaści na księży mają to w sobie dobrego, że wzniesają oburzenie i pobudzają do czynu sfery, będące w największej od księży zależności, niewiasty nasze. Kto zaczepia księdza, może być pewnym, że będzie miał do czynienia z całym zastępem niewiast, o tyle naturalnie, o ile zaczepiony przedstawiciel duchowieństwa posiada pewną sympatyę wśród ludności, a zwłaszcza płci pięknej.

W jednym z pism naszych pomieszczono właśnie w tych dniach list jednej z takich dzielnych i zacnych niewiast, którą szczerkani katowickiego *Tageblattu* wyprowadziły z granic cierpliwości. Jestto oryginalnym stylem ułożona odprawa, z której wyjątek pozwolimy sobie przytoczyć, jako próbkę tego, w jaki sposób niewiasty nasze głos zabierają w sprawach publicznych. »Weźcie kapuściane głowy — pisze ta białogłowa — trochę germanizacyi, nieco wielkopolskiej agitacyi, to wszystko zaleje mową wasserpolską i ugotujcie to na ogniu, jaki was znów porwie na Polaków. Spożywszy to, może łatwiej Polaków pońkniecie i trochę lżej pójdą na dół, bo tak to Polak trudny do zgryzienia. Ale gdy ich połykać będziecie, to proszę ostrożnie, bo wiecie, że się Polak bardzo rozpiera, chociaż i w brzuchu, a nadto wiadomo nam, że »w Polaku taka dusza, że choć umrze, to się rusza«. Myślę że będziecie kontenci z mojej rady, bo gdy Polacy znikną, to wam już nikt potem nie zanuci »Piękna nasza Polska cała« lub »Jeszcze Polska nie zginęła«. Więc rada skończona, ale na zakończenie pozwólcie, że wam zaśpiewam, zanim i ja przejdę przez gardziel waszą — i tu następuje 8-zwrotkowy wiersz, pełen zapału patriotycznego i nie pozbawiony głębszej myśli.

Gdy urządzamy tutaj teatry amatorskie, które są niezłym wcale środkiem, podnoszącym świadomość narodową, doznajemy także przytem różnych szykan, o czym się już nieraz gazety nasze rozpisywały. Dość wspomnąć o nakazie składania przedstawianych sztuk w tłumaczeniu niemieckim, lub o nieprawym nakładaniu podatku, jakoby za prowadzenie proceder. Mówimy o tej sprawie, bo właśnie ważny wyrok w sprawie przedstawień amatorskich, wydał niedawno najwyższy sąd administracyjny w Berlinie.

Towarzystwo polskie w Olsztynie (Prusy wschodnie) dawało kiedyś przedstawienie, które w czas zostało policji zameldowane, a nawet podatek od zabawy zapłacono. Czysty dochód był przeznaczony na kupno chorągwi. Prezesowi jednak towarzystwa wytoczono proces o to, iż robi ono z zabawy proceder (Gewerbe), dalej uznano nawet sprzedawanie oznak do tańca za zbieranie składek. Pomimo że oskarżony udowodnił, iż towarzystwo zysku z teatru nie ciągnie i zbierania składek nie urządzało, sąd ławniczy skazał go na 36 marek kary i kosztu sądowe.

Skazany zaapelował do izby karnej, która go też od kary i kosztów uwolniła, uznając że towarzystwo miało prawo na swoje potrzeby wewnętrzne teatry urządzać. Przeciwnemu orzeczeniu założył znów prokurator apelację do najwyższego dla tych spraw sądu w Berlinie, który atoli odrzucił rewizję prokuratora, potwierdzając wyrok Izby karnej, uwalniający przewodniczącego od kary i kosztów.

Ogromnie się cieszymy tutaj z takiego zakończenia tego procesu, bo jako zainteresowani bezpośrednio w sprawie teatrów amatorskich, może teraz z większą ochotą zabierzemy się do ich organizowania, mając po za sobą tak poważnego sprzymierzeńca, jakim jest bezwątpienia ów dekret sądu berlińskiego.

Wiadomo, jak wielką klęską dla sprawy polskiej jest praktykowany przez najwyższą władzę wojskową zwyczaj wysyłania rekrutów naszych w okolice czysto niemieckie, gdzie przez czas pobytu w szeregach zapominają często języka swego i ulegają wpływom niemieczyny. W tym roku wydano znowu rozkaz podobny. I tak n. p. 250 rekrutów polskich ze Śląska wysłanych zostanie do IX korpusu armii meklembursko-szlezwicko-holsztyńskiego, natomiast z tego korpusu po 125 rekrutów niemieckich otrzymają tutejsze pułki VI korpusu, stojące załogą w Koźlu i Opolu. Charakterystycznym w tej sprawie jest to, iż podczas gdy 250 rekrutów niemieckich umieszczonych zostanie tylko w dwóch pułkach śląskich, to przeciwnie 250 rekrutów polskich rozdzielonych będzie aż w jedenastu pułkach czysto niemieckich, stojących załogą w miastach: Altonie, Bremie, Stade, Hamburgu, Lubece, Szlezwigu, Haderslebenie, Rendsbergu, Kilonii, Flensburgu i Sonderburgu.

Gazety niemieckie piszą, że żołnierzy polskich dlatego wysyła się w okolice nawskróś niemieckie, aby się nauczyli prędzej władać językiem niemieckim, używanym w służbie wojskowej. Ale w takim razie cóż wart system szkolny, tak przez nie zachwalany, jeżeli nie jest w stanie dać uczniom tyle znajomości niemieczyny, ile jej w wojsku niezbędnie potrzeba. Cała obłuda niemiecka aż nadto wyraźnie z tego się wyłania. Dlaczego już nie pozwolić sobie i otwarcie się przyznać, że tu chodzi wprost o germanizowanie młodzieży nowozaciennej.

Leszek.

== *Postępy katolicyzmu na Mazowszu pruskim.* W tej części Prus Wschodnich, którą nazywają Mazurami albo Mazowszem pruskim, główną masę ludności stanowią, jak wiadomo, Polacy-ewangelicy. Dopiero w nowszych czasach zaczęli się tam osiedlać katolicy, przeważnie Warmiacy. Ks. Tolsdorf z Olsztyna, który w r 1851 posłany był do Szczytna, jako t. zw. »curatus« wszystkich katolików w powiecie szczyteńskim, nie zastał tam ani jednego kościoła, ani jednej szkoły katolickiej. Założył on kilka stacyi misyjnych, wygłaszał kazania, polemizował z protestantami, za co, jak pisze, był kilkakrotnie oskarżony i zasądzony na więzienie. W przeciągu 45 lat powstało jednak w powiecie szczyteńskim 7 kościołów z 5 księżmi, 5 szkół państwowych katolickich i 2 mieszane z katolickimi nauczycielami.

Obecnie z polecenia biskupa zajmuje się ks. Tolsdorf sprawą wybudowania kościoła w Szczytnie i zamieścić w pismach polskich wezwanie do składania ofiar. Szkoda jednak, że zamieszczając w pismach polskich wezwanie do składek i zwracając się do katolików Polaków, nie wyjaśnił ks. Tolsdorf w jakim języku odbywają się kazania w tych kościołach, w jakim języku przygotowują się dzieci do spowiedzi. A może ta propaganda katolicka wśród protestantów Mazurów jest zarazem propagandą niemieczyzny?

Z KOLONII I WYCHODZTWA.

— *Kongres katolicko-polski w Buffalo.* Nie mamy jeszcze szczegółowego sprawozdania z obrad tego kongresu, którego program podawaliśmy dawniej, dziś już jednak powiedzieć można, że rezultaty jego dodatnie będą bardzo skromne. Wskutek tego, że kierownictwo sprawą zwołania i zorganizowania kongresu dostało się w ręce ludzi nieodpowiednich, pierwotny cel jego został zupełnie skrzywiony. Zamiast ułagodzenia waśni stronnicych, rozjątrzone je gorzej. Głównym niemal celem kongresu stała się w prasie katolickiej walka ze Związkiem narodowym polskim. Wszystkich należących do Związku, chociaż byli między nimi ludzie zasłużeni, fundatorowie i opiekunowie kościołów, nie dopuszczono do udziału w obradach. Napróżno protestował przeciw tej szkodliwej jednostronności p. Maryński, który myśl zwołania kongresu gorąco dawniej popierał i jest gorliwym katolikiem. Napróżno szanowny ks. Wawrzyniak, patron spółek zarobkowych w Poznaniu, który obecnie podróżuje po koloniach polskich w Stanach Zjednoczonych, zalecał zgodę i wyrozumiałość. Udało mu się uciszyć trochę polemikę pism katolickich z patryotycznymi, ale nie mógł skłonić zagorzalców do rozsądniejszego postępowania i do zerwania z kilkoma intrygantami, którzy w celach osobistych spory i waśnie podsycają.

Nie wiele zapewne zrobi kongres w najważniejszej i najważniejszej dla niego sprawie — naprawy wciąż pogarszających się stosunków kościelnych w koloniach polskich. Nie wiele widocznie liczył na dobre chęci duchowieństwa miejscowego ks. Smolikowski, generał Zmartwychwstańców, który dobrze poznał tutejsze stosunki, bo jak zapewniają niektóre pisma miejscowe, na wniosek jego Kongregacja Propagandy wydała rozporządzenie biskupom amerykańskim, żeby nie przyjmowali żadnego Polaka, kapłana czy kleryka, bez poprzedniego znieśienia się z nią. »Smutna to zaiste reklama dla nas, kiedy przychodzi już do zabezpieczenia ogółu przed własnymi lecz nieuczciwymi rodakami, liczącymi się do stanu duchownego«, powiada *Sztandar* chicagowski, który przyznaje jednak, że w inny sposób niepodobna zapobiedz coraz częstszemu przybywaniu »niegodziwych kapłanów«. Duchowieństwo polskie w Stanach Zjednoczonych jest w większości tak zdemoralizowane, że naprawę nie może własnymi siłami dokonać.

PRZEGLĄD PRASY.

— P. Schnür-Pepłowski wystąpił w *Gazecie narodowej* z projektem, który powtórzyły i poparły wszystkie dzienniki galicyjskie (z wyjątkiem *Czasu*) i poznańskie:

„Bliska już, setna rocznica powstania legionów włoskich przypominała nam niewypełniony do tej pory obowiązek polskiego społeczeństwa wobec twórcy tych bohaterskich zastępów. W krypcie św. Leonarda, w podziemiach Wawelu spoczęły już od dawna zwłoki ukochanego naczelnika i polskiego Bayarda, który w nurtach Elstery znalazł zgon przedwczesny,

podeczas gdy trzeci w tem gronie, towarzysz ich czynów i sławy, równy im miłością ojczyzny oraz poświęceniem, śpi snem wiekiustym w ustronnej Winnejgórze.

„W roku 1818 zmarł *generał Dąbrowski* — pisze w swych pamiętnikach pułkownik Ludwik Szczaniecki, jeden z wykonawców ostatniej jego woli. — Pochowałem go w Winnejgórze, w mundurze legionów, tak jak sobie życzył, i kazałem go nabalsamować w tem przekonaniu, iż raz przyjdzie czas, w którym oceniając zasługi tego męża, przeniosą go do grobowców krakowskich i tam obok Kościuszki, jako pierwszego po nim, postawią jego drogie szczątki. Starania, które w tym względzie robiłem, aby go przenieść zaraz do Krakowa, znalazły opór ze strony nieprzyjaciół naszych!..“

„Tak więc wódz legionów nie posiada dotychczas godnego jego zasług pomnika. W winnogórskim kościele, ze składek winnogórskiego ziemiaństwa wzniesiono za staraniem ś. p. Seweryna Mielżyńskiego skromny sarkofag, kryjący śmiertelne szczątki bohatera. Za przykładem Wielkopolan, zachęcani przez pp.: Benoe, Dębickiego i Kruszewskiego, złożyli się w kilkanaście lat później mieszczanie powiatu brzeskiego na pamiątkowy obelisk, ustawiony w rodzinnem miejscu generała, w Pierzchawcu, ale obie te pamiątki posiadają niejako tymczasowy tylko charakter, gdyż Wawel jedynie może być godnym przytułkiem dla zwłok męża tej enoty i zasługi, jakim był Dąbrowski. O nim to słusznie powiada Morawski:

Czternastu lat dziejów naszych niedostawa,

Tę wypełniła Dąbrowskiego sława...

„Ów rycerz niezłomny, pełen hartu i wiary w odrodzenie ojczyzny i w ostateczne zwycięstwo słusznej naszej sprawy, obyć się może bez pomników, kutych w marmurze, gdyż nazwisko jego przekazała przyszłym pokoleniom pieśń bojuwo legionów, która na pobożowskich niejednokrotnie zwyciężkami odezwała się echem, ale poczucie narodowego honoru, jeżeli już nie inne względy każą nam przypomnieć polskiemu społeczeństwu jego dług wobec twórcy i wodza legionów. W setną rocznicę dziejowego faktu, który cała Polska święcić będzie w roku przyszłym, popioły Dąbrowskiego winny spoczywać na Wawelu, w tym panteonie chwwały narodowej.“

Dziennik poznański taki do słów *Gazety narodowej* dodaje przypisek:

„Myśli tej przyklaskujemy z całego serca i przekonani jesteśmy, że całe społeczeństwo polskie dołoży wszelkich sił, aby wzniosła myśl ta w jak najkrótszym czasie została w czyn zamienioną. A choć żal będzie ziemi wielkopolskiej rozstać się z zwłokami bohatera pieśni „Jeszcze Polska nie zginęła“, to jednak odda je chętnie całej Polsce, do której one należą, aby spoczęły w Panteonie narodowym na Wawelu.“

Niewątpliwie całe społeczeństwo polskie pragnie sprowadzenia zwłok Dąbrowskiego na Wawel i uroczystego obchodu setnej rocznicy utworzenia legionów, ale t. zw. sfery wpływowe przeciwne są wszelkim demonstracjom i dopóki Stańczycy mają głos decydujący, a ministrowie rodacy rządzą Austryą, szczątki bohatera narodowego pozostaną w Winnogórze. Chyba może wzgląd na wybory skłoni żywo „ładu i porządku“ do zgodzenia się na demonstrację dla wykazania swego, coraz więcej podejrywanego patryotyzmu.

Trudno spodziewać się pozwolenia na uroczyste sprowadzenie zwłok Dąbrowskiego, jeżeli nie pozwolono uroczystości odsłonić skromnego pomnika Kilińskiego we Lwowie. Nie będziemy przytaczać, dość błędnych zresztą protestów pism miejscowych w sprawie tego zakazu, ale powtórzymy opowiadanie, zamieszczone w *Oređowniku poznańskim*:

„Zdawało się, że uroczystość ze skromnym programem nie może wzbudzić zaniepokojenia, a więc z żadnej strony nie natrafi na opozycję. Ale inaczej snać zapatrywała się na tę sprawę iwowska dyrekcja policji. W p zeddzieńce oczekiwanej uroczystości otrzymało kilku członków komitetu obchodowego wezwanie do dyrektora policji, radcy dworu Krzaczewskiego, i tutaj oświadczone im, że policja w żadnym razie do uroczystości nie dopuści, w razie potrzeby obsadzi wszystkie wejścia do parku żołnierzami, a towarzystwa, któreby się ośmieliły wystąpić ze sztandarami, rozwiąże. Na to nie było odpowiedzi — komitetowi przeto oświadczyli p. dyrektorowi policji, iż zastosują się do rozkazu i uroczystość ograniczą jedynie do tych punktów programu, których nikt nie ma im prawa wzbronić, tj. urządzenia nabożeństwa i złożenia u stóp pomnika wieńców nie gremialnie, ale przez poszczególne deputacje.“

Kościół Dominikanów, w którym odbywało się nabożeństwo, przepełniony był publicznością, wszystkie cechy lwowskie przybyły z chorągwiami. Po nabożeństwie wieńce odwieziono do parku.

„Pomimo niesprzyjającej pogody, bo deszcz padał ustawicznie od rana, zebrało się dokoła pomnika kilkaset osób, przeważnie młodzieży i pań. Dokoła po alejach uwijało się kilku rewizorów z żółtymi orzełkami na piersiach, rzucając co chwila pytające spojrzenia na dwóch komisarzy w mundurach, pp. Kropaczka i Urbanowicza, którzy ustawili się na kilkadziesiąt kroków od pomnika. W tylnej alei, wśród krzaków około 50 żołnierzy policyjnych urządziło sobie formalne obozowisko, drugie tyle zakwaterowano jako rezerwę w dawnym pawilonie miejskim, służącym obecnie za restauracją ogrodową. Dla nieświadomego rzecey, wszystko razem wzięte, musiało stanowić oryginalny widok, mogło mu się zdawać, że za chwilę ma tutaj wybuchnąć rewolucya, a ta cała siła zbrojna przeznaczona jest do obrony zagrożonego pokoju europejskiego“.

„Tymczasem młodzież odkryła głowy, i za chwilę popłynęły ku niebu dźwięki pieśni patriotycznych: „Boże coś Polskę“, „Z dymem pożarów“, „Bartoszu, Bartoszu!“ i t. d. W bezmyślnych zwykle twarzach żołnierzy policyjnych zaczęło się malować zdziwienie i rozczarowanie. A więc na to sprowadzono ich tutaj i kazano stać wśród deszczu na wilgotnej murawie, aby wysłuchali nie winnych śpiewek garstki młodych ludzi, zachowujących się z taktem i powagą. A komisarze policyjni stali wciąż na tem samym miejscu zadumani. Może im samym w tej chwili rola ich wydała się niesmaczną.“

Całe zajście, zdaniem korespondenta zostawiło po sobie nieprzyjemne wrażenie, nie tylko ze względu — dodamy — na postępowanie policyi, ale i ze względu na zbytnią potulność publiczności lwowskiej, która wcale przeciw nieluzsznemu zarządzeniu nie protestowała.

== Przyjaciele krakowskiego *Czasu* powinni mu zwrócić uwagę, że częstokroć, licząc zanadto na naiwność czytelników, tumani ich tak bezceremonialnie, że to najpewniej odwrotny od zamierzonego musi wywoływać skutek. Myśl ta nasuwa się przy czytaniu ostatniej korespondencji z Warszawy (datowanej 29 września), w której, naturalnie, mowa o hr. Szuwałowie i o polityce ugodowej, bo po za tem dla *Czasu* w zaborze rosyjskim spraw ważniejszych prawie niema.

„Jest to rzecz — jak powiada korespondent — w wazszych galicyjskich warunkach trudna do zrozumienia, jak dalece prasa zakordonowa nam szkodzi. Nie mówię już o szowinistycznych i podburzających artykułach, które się potem mszczą (?) tutaj na naszej skórze, albo o przesadnych tendencyjnych i nieprawdziwych wiadomościach, kiedy niestety tyle prawdziwych, a smutnych wiadomości było (a teraz niema? *przyp. red.*) do niedawna do pisania, ale o rzeczach nieoglednych, może nawet z dobrą wiarą napisanych, które później tutejsze warunki życia utrudniają. Po ustąpieniu generała Hurki pewna część prasy zakordonowej zaczęła przywiązywać do nominacji hr. Szuwałowa zbyt wielkie i wygórowane nadzieje, zaczęła go chwalić niepomiernie i oczekiwać od niego zmiany systemu. To oczywiście tylko utrudniło jego stanowisko, bo jeśliby miał pojednawcze chęci i podejmował starania złagodzenia systemu, zamiary jego znajdowały dlatego samego tem większe trudności i opór w pewnych sferach w Petersburgu, do niedawna jeszcze zbyt potężnych. Może w tem zresztą była i metoda i zatwardziała jakaś w złem taktyka pewnych naszych kółek czerwonych, aby naprzód rozbudzić nadzieje, stawiać daleko idące wnioski, a potem, gdy się to nie ziściło, uderzyć na t. zw. ugodowców tutejszych, powtarzając na wszystkie strony: „Oto macie, od rządu rosyjskiego i od Rosyi niezego nigdy spodziewać się nie można, żadnej folgi, żadnej zmiany, cała polityka konserwatystów trzymania się legalnej drogi i szukania jakiegokolwiek zbliżenia jest i będzie nonsensem“. Godnem jest uwagi, że zawsze w takich wypadkach uderza się na jednego kozła ofiarnego, to jest na tych ludzi, którzy stoją na czele kierunku konserwatywnego i afirmują na każdym kroku legalną drogę postępowania, aby ich znaczenie i wpływ w społeczeństwie podkopać, a jedynie i zdrowy i rozumny kierunek polityczny, odpowiadający realizmowi położenia i potrzebom kraju, jako niemożliwy przedstawiać, zachwiać nawet na przyszłość wszelką ufność do niego“.

Pominąwszy ów niesumienne wprowadzony w grę fałszywy z gruntu komunał, że najbardziej chociażby podburzające artykuły przeciw Rosyi mogą się mścić na skórze mieszkańców zaboru rosyjskiego, ludzie, mający dobrą pamięć i trochę zdrowego rozsądku, nie powstrzymają się chyba od śmiechu, słysząc o wyrafinowanej taktyce »pewnych kółek czerwonych«, utrudniającej stanowisko generał-gubernatora i usiłujących zdyskredytować t. zw. stronnictwo ugodowe. Wiemy przecie wszyscy dobrze, iż nie kto inny, ale właśnie te sfery »ugodowe« rozsiewały najnieprawdopodobniejsze wieści o zamiarach hr. Szuwałowa, że właśnie pisma stańczykowskie i wogóle konserwatywne budziły w społeczeństwie nadzieje ulg wielkich, że jeżeli spotykaliśmy się z czemś podobnym i w pismach demokratycznych, to tylko dlatego, że te w swej bezkrytyczności i ignorancji dały się porwać owczemu pędowi i powtarzały za tamtymi, jak za panią matką pacierz. Ze tego rodzaju taktyka nie mogłaby pomódz nowemu wielkorządcy, gdyby miał jakieś lepsze zamiary, to widział każdy człowiek rozsądny, używanie jej też najlepiej świadczy, jak zdzięcinnie są te żywioły, na których akcyja ugodowa się opiera. Dziś gdy jałowość tej akcyi bije w oczy, heraldowie »ugody« wpadają w ton elegijny i, zapominając niby, co sami robili imputują własne postęпки jakimś czerwonym (?) kółkom, posadzając je o »metodę« i »taktykę«, gdy jedyną zbrodnią tych, co wierzyli rozsiewanym przez ugodowców bredniom, była karygodna iście naiwność. Oto, jakimi sposobami podtrzymują swój kredyt moralny w społeczeństwie przedstawiciele »jedynie zdrowego i rozumnego kierunku politycznego, odpowiadającego realizmowi położenia (?)«.

Korespondent nie ma »odwagi cywilnej« (nie chcemy używać mniej delikatnego wyrażenia) twierdzić, że się systemem zmienił, ale swoją drogą, poucza czytelników, że jest lepiej.

„Niema wprawdzie zmiany systemu — przyznaje ugodowcy publiysta — niema większej swobody w Królestwie pod względem narodowym i religijnym, ale nie jest się już tak pod obuchem dokuczliwości, szynkan i nadużyte biurokratycznych, jak dawniej, a one sprawiały, że najspokojniejsi ludzie nie byli pewni siebie i tego, co ich jutro czekać może. Niema zmiany systemu, ale jego wykonywanie jest więcej cywilizowane i łagodniejsze; nadużycia i samowola podrzędnych organów jest w pewnej mierze ukrócona. To jest zasługa hr. Szuwałowa, a w pewnej części i jego zastępcy p. Petrowa. Wiem z najlepszego źródła, że blisko dwudziestu naczelników powiatu zostało wydalonych lub przeniesionych wskutek skarg obywateli.“

Jedynym faktem, przytoczonym na dowód, że stosunki się poprawiły, jest zgębienie owych »dwudziestu naczelników powiatu«. Otóż prosilibyśmy szanownego korespondenta, ażeby wymienił nam łaskawie powiaty, w których obywatele otrzymali taką satysfakcyę od władzy wyższej, my bowiem utrzymujemy, że to jest fałsz, taki sam fałsz, jak owe plotki, które poprzednio rozsiewano o Szuwałowie. Zresztą, gdyby nawet kosztem wiernopoddańczości i wyrzeczenia się wszystkiego, czegośmy się dotychczas nie śmieli wyrzekać, można było otrzymać »więcej cywilizowane i łagodniejsze wykonywanie systemu«, bez jego zmiany zasadniczej, to czyż wtedy t. z. polityka ugodowa będzie usprawiedliwiona?...

Mniej lub więcej cywilizowane, brutalne lub łagodne wykonywanie systemu — to sprawa obchodząca tylko jednostki, którym chodzi o to, żeby ich nie denerwowano. Dla interesów narodowych ma znaczenie tylko system, i jeżeli ten ma zostać bez zmiany, to już lepiej niech będzie wykonywany brutalnie, bo wtedy zrozumienie jego będzie łatwiejsze dla ludzi ograniczonych. Podstawianie w polityce interesów osobistych zamiast narodowych, będące właściwością programów stańczykowskich i nazywane w tych pro-

gramach »rozumem stanu«, »zdrowym kierunkiem«, »realizmem politycznym«, ze stanowiska narodowego jest bezmyślnością polityczną, objawem zgnilizny, jest realizmem owego niechlujnego zwierzęcia, które zjada żołądź, a jednocześnie podrywa korzenie wydającego je dębu.

— Na innym miejscu omawiamy zachowanie się galicyjskiej zachowawczej prasy wobec wniosku dra Lewakowskiego w sprawie niekonstytucyjnych reskryptów starościńskich. Na zarzut, że wniosek dra L. jest czynem niepatriotycznym, bo przeciw »naszemu« rządowi i »naszym« urzędnikom występuje przed obcymi, bardzo trafnie odpowiada czerniowiecka *Gazeta Polska* w artykule p. t. »Bałamucenie opinii«, w którym między innymi czytamy:

Kiedy hr. Gołuchowski został ministrem spraw zagranicznych, a hr. Badeni szefem gabinetu, poczęto z Krakowa dąć w tryumfalne surmy i głościć całemu narodowi, że oto i niesłychany splendor i wielkie na przyszłość widoki otwierają się Polakom, bo nasi stanęli u steru monarchii. Popierajmyż ich na każdym kroku! Nie czynmy ich rządowi najmniejszej trudności — bo to *nas!*!

Nie mamy bynajmniej powodu, ubliżać narodowemu poczuciu ministrów pp. Gołuchowskiego i Badenięgo, — ale po prostu śmiesznymi nazwać musimy dalsze konsekwencye, jakę polskim uczuciom przagnie narzucić taki Czas i jego stronnictwo. Nie trzeba wielkiej na to głowy, aby widzieć, iż zarówno hr. Gołuchowski, jak i hr. Badeni przyjęli obowiązki ministrów nie polskich, ale austriackich, że inaczej przecie być nie mogło i że łączenie jakiegokolwiek uczuć narodowych do tych nominacyj byłoby poprostu imputowaniem obu tym panom walenrodzizmu, do którego z pewnością nie czują najmniejszej ochoty. Ani oni nie mogą i nie zechcą na swych stanowiskach być specjalnymi, a chociażby tylko więcej, niż dla innych żywiołów, działającymi obrońcami spraw polskich, ani też my nie mamy żadnej podstawy domagać się dla siebie czego więcej od nich, aniżeli od każdego ministra monarchii, do której mechanicznie należy Galicya. Powiemy więc: obejmując ster spraw austriackich, panowie ci w uczuciach i sympatyach swych narodowych więcej są krępowani dzisiaj, aniżeli kiedykolwiek, są bowiem jedynie i wyłącznie austriackimi ministrami. Polski ich patriotyzm — jeżeli o tem może być mowa — w tym wypadku z pewnością zamkniętym jest na dziesiątą zamków w najgłębszych tajnikach ich piersi, zdobnych — nie za polskość wszakże — orderami rosyjskimi, bułgarskimi, serbskimi i rumuńskimi. Nie bałamuemy się tedy ani sami, ani nie wprowadzamy w błąd społeczeństwa przez nakazywanie mu szerególnego petyzmu i bezwzględnego posłuszeństwa dla maszyny rządowej jedynie z tego powodu, że tą maszyną w pewnym, z góry nakazanym kierunku, pozwolono obracać — Polakowi.

To samo w zupełności da się powiedzieć o innych, podwładnych organach rządowych, a specjalnie o przedstawicielach władzy politycznej w Galicyi. Kto stara się wzmówić w społeczeństwo, że to *nasza polska* władza, *nas!* funkcjonarysze, ten albo zapomina, iż przed wiekiem straciliśmy samoistność państwową i dotychczas nie odzyskaliśmy jej jeszcze, albo *identyfikuje bezwzględnie pojęcie austriackości z polskością*. Narodowość, n. p. religijne wyznanie, urzędnika zgoła nie może tu decydować podobnie, jak i język, w jakim tenże rozkazy swe wydaje, — czy w Galicyi, czy w Czechach, lub Dalmacyi, jest on szerególnie austriackim i co czyni, czyni z rozkazu austriackiego rządu dla tegoż rządu tendencyi. P. Laskowski może być, jako człowiek prywatny, Polakiem, ale, jako starosta, nie jest bynajmniej polskim starostą i nie dla Polaków, ale dla całej Austrii pracuje.

Jakże wobec tego zabawnie wygląda oburzenie się pism konserwatywnych na posta Lewakowskiego za to, że w parlamencie austriackim surowo krytykował postępowanie starostów w Galicyi! *Czas* woła, iż p. L. na *naszych* napadł urzędników, że przed obcymi *naszą* krytykował władzę, że więc *naszą* poniżał gospodarke. Jeżeli *Czas* pod wyrazem *nasz* rozumie słowo: *austriacki*, natenczas zgoda; zarazem jednak nie ma słuszności w zarzucie, iż uczyniono to »przed obcymi«, bo na postępowanie organów austriackiego rządu żale podniósł Lewakowski w parlamencie austriackim, a zatem przed *forum* właściwym. Ale nie ulega wątpliwości, że *Czas* we władzy galicyjskich starostów widzi *władzę polską*, i to właśnie, o ile byłoby szczerem, o tyle byłoby naiwnem. Że zaś jest jedynie albo partyjnym fortelem, albo zupełną abdykacyą z odrębności spraw narodowych, jest przeto — wstrętnem. Wolno bezwątpienia stronnictwu krakowskiemu wy-

rzec się odrębności narodowej i utonąć w cudzej liberyi, radując się z »naszych« herbowych guzików, ale zdrowy rozum narodu będzie zawsze wiedział, że od wykonawczych organów wiedeńskiego rządu centralnego do władz »naszych« tak daleko, jak daleko od carskiej wizyty we Wiedniu do — odbudowania Polski«.

— Zajście w Opalenicy wywołało w prasie niemieckiej prawdziwą powódź artykułów antypolskich. Cała ta kampania, gorliwie prowadzona przez hakatystów, ma na celu oddziaływanie na opinię publiczną w Niemczech, która dotychczas była dosyć obojętną na skargi zagorzańców pruskich i nie dopomagała ich zabiegom. Przytoczony w numerze poprzednim wyjątek z *Kölnische Zeitung* pokazuje, jakich środków agitacya antypolska używa. Gwałtowniej jeszcze napadają na Polaków *Leipz. Neue Nachrichten*, które porównują chwilę bieżącą z epoką, poprzedzającą rok 1848.

„Rolę energicznego Flotwella odegrał książę Bismark. Stablewski, który mową swoją toruńską, oraz napadami na odprawionego męża stanu wszrubował się w wąską nową kursu, jest Duniem naszych czasów; Raczynscy i Radziwiłłowie odżywają w Kościelskich i ich przyjaciółach. I znowu widzimy, jak »prymas Polski« przeciaga wspinać kraje polskie, widzimy, jak otoczonego »swoim ludem« przyjmują go w harwach i strojach narodowych, jak udziela on błogosławieństwa temu uczuciu odrębności, które w Polakach żyje i widzimy go, jak niegdyś Dunina, zanoszącego skargę na tego niemieckiego urzędnika, którego ku uświetnieniu przyjęcia w Opalenicy polski zapal w tak ohydny sposób sponiewierał. To, co ognisty Flotwell zbudował, to zburzono w krótkim przeciagu czasu; to, co Bismark stworzył, to ze skutkiem naruszone«.

Zdaniem dziennika lipskiego następstwa tego, co jest obecnie, są takie same, jak były następstwa polityki rządu przed r. 1848 a mianowicie:

„że osobisty stosunek Polaków do Niemców staje się coraz to bardziej wrogim, że uroszczenia Polaków wzrosły razem z naszym niezadowolnieniem i że polityka pojednawcza wyrodziła się w skrajne przeciwieństwo. Jak wówczas Polacy w rewolucyi najgorliwsi wzięli udział, tak teraz na nowo w zapamiętałem powstaniu chwycili za oręż przeciw monarchii pruskiej«.

Tym strasznym orężem są pochodnie, któremi dotkliwie obrażono odwrotną stronę p. Carnapa, przedstawiającą widocznie — zdaniem *Leip. N. Nachrichten* — »monarchię pruską«.

Naturalnie artykuł tego rodzaju nie mógł się obyć bez powołania się na Bismarka:

„Dnia 14. września 1894 r. powiedział był Bismark: »Chwiejność zamionuje całą naszą politykę polską od 1815 r. do dzisiaj, podług tego jak polskie wybitne rody u dworu wpływu nubiętały«.

„Ta to chwiejność sprawiła, że dzieło zupełnego zniemczenia się nie udało. Ale cieszymy się, że zajście takie, jak Opalenickie, znowu wskaże umysłom naszym na to, co na wschodzie naszej ojczyzny jest prawdziwego«.

Dziennik lipski chciałby zaprowadzić stan wyjątkowy w prowincjach wschodnich, żeby do gruntu zburzyć »gniazdo polskiej zarazy«.

„Trzeba nam silnej, żelaznej dłoni, któraby międzynarodową pałkę udźwignęła i spuściła na wszystko, co przeciw nam dyszy, tej dłoni potrzeba nam dzisiaj tak samo, jak w dniach, kiedy młot Flotwellowski do żelastwa odrzucono. Oburzamy się na czerwony sztandar socjalistów, ale zezwalamy, aby na wschodzie polska chorągiew zdołała domy, skoro pan Stablewski (!) nadechdot, aby śpiewano i głożono mowy, za które w danym razie prawnie ukaraćby można«.

Poszukując środków skutecznych *Leip. N. Nachrichten* przypomniły sobie rozporządzenia władz rosyjskich zabraniające używania na Litwie mowy polskiej w miejscach publicznych, radzą więc wzór ten naśladować.

Kłamstwa i podszczuwania hakatystów oburzyły nawet niektóre pisma niemieckie, wychodzące w dzielnicach

polskich. Tak n. p. *Posener Zeitung* dała stanowczą odprawę artykułom podburzającym innych dzienników.

„Zamierzaliśmy początkowo przeczekać wyuk urzędowego śledztwa z powodu zajęcia w Opalenicy, ażeby następnie omówić gruntownie stosunki w prowincyi poznańskiej; jednakowoż rozdrażniona dyskusya i wprost zgubny sposób, w jaki pewna część niesumiennej podszuwawcy prasę niemiecką obrabia, zmuszają nas do tego, żeby już teraz zająć stanowisko, by takie machinacje nie przyniosły całej naszej prowincyi nieobliczonych strat. W ostatnich dniach pojawiły się mianowicie dwa artykuły, które wzbudziły wielką uwagę i żywo omawiane bywają — niestety nie w ten sposób, jak na to zasługują; mamy na myśli artykuł *Köln. Zig.* o podziale prowincyi poznańskiej i wezorajszy wstępny artykuł *Berl. Neuesten Nachr.*

Posener Zeitung zaznacza, że prasa niemiecka ma zupełnie fałszywe pojęcie o stosunkach na kresach wschodnich i że wskutek tego bałamuci opinię publiczną całych Niemiec.

Podług przedstawienia kolońskiego organu nie może się u nas żaden Niemiec, który od stóp do głów nie jest uzbrojony, pokazać weale na ulicy; tylko po cichu wolno mu się z drugim Niemcem rozmówić po niemiecku i z schyloną głową chodzić za zarobkiem; jeżeli z trudem i móżolem zrobił się jakiej własności, to polska banda podpalaczy niszczy mu ją ogniem. — Tak mniej więcej, podług artykułów *Köln. Zig.* i innych gazet niemieckich, wyglądają stosunki w prowincyi poznańskiej, a czytelnicy wierzą takim nonsensom.

„Przedewszystkiem stwierdzić należy, że niemiezczyzna u nas weale nie znajduje się w niebezpieczeństwie, by ją można było ucisnąć, że tak samo mocno u nas pulsuje — może nawet silniej, aniżeli w głębi Niemiec, bo właśnie skutkiem narodowych przeciwieństw każdy nabiera świadomości swej niemieczyny. Co sobie właściwie w głębi Niemiec wystawiają? Za jakich opłakania godnych ludzi uważa się Niemców w prowincyi poznańskiej? Czy sądzą może, że lękamy się tych półtora miliona Polaków? Kto tak twierdzi, myli się grubo. Każdy Niemiec w Poznaniu chodzi z tą pewnością i z tą świadomością, że należy do jednego z najpotężniejszych narodów na świecie. Wie o tem, że w prowincyi poznańskiej znajduje się korpus wojskowy niemieckich żołnierzy i dla tego nikt się nie odważy, ażeby przeszkodzić pokojowemu zarobkowi Niemców. Rozsądny człowiek w Poznaniu nie wierzy temu, ażeby ruch polski mógł się państwu niemieckiemu stać niebezpiecznym, gdyż leży jak na dłoni, że garstka Polaków, która w poczuciu swej mniejszości w swej prasie bezustannie skarży się na ucisk i tępienie ze strony Niemców, potężnemu państwu niemieckiemu nie może się stać niebezpieczną“.

Posener Zeitung występuje również przeciw upowszechnionemu mniemaniu, że Poznańskie jest krajem zacofanym pod względem ekonomicznym.

„Jedynie hamuje u nas rozwój ekonomiczny podszuwawanie, wprowadzane sztucznie przez niesumienne agitatorów i to z poza prowincyi poznańskiej. Mówimy wyraźnie z poza obrębu prowincyi poznańskiej, gdyż o niemieckiej prasie w prowincyi poznańskiej zaszczytnie powiedzieć można, że żadne (?) z politycznych pism niemieckich nie prowadzi takiej zatruwającej polityki. A teraz przystępujemy do *Berl. Neuesten Nachr.* Pismu temu nie możemy przyznać tych powodów uniewinniających, co w pole wywiedzionej (?) *Köln. Zig.* gdyż *Berl. Neuesten Nachr.*, które są własnością p. Hansemanna, dziedzica w Pempowie w prowincyi poznańskiej, mogłyby pisać prawdę o stosunkach miejscowych gdyby chciały. Nie chcą jednak tego, gdyż całym celem tego pisma jest to, ażeby niektórym junkrom pruskim dać władzę i znaczenie, w tym celu szcząją na Polaków, ażeby w mętnej wodzie ryby łowić. Tem się też tłumaczy artykuł *Berl. Neuesten Nachr.*, które omawiając rozkoszny artykuł *Köln. Zig.*, zaczynają prawie o stanie obłączenia w prowincyi poznańskiej.

„Widzicie więc, Niemcy, najlepiej — kończy *Posener Zeitung* — do czego ci ludzie zmierzają, do ogłoszenia stanu obłączenia, czyli mówiąc po niemiecku twierdzą, że należy tu każdemu zamknąć usta, należy rozwój życia ekonomicznego zniszczyć i gdy nastąpi ogólna nędza, wtedy junkier będzie pod względem społecznym i ekonomicznym tryumfował“.

Gazeta zwraca się do »obywateli niemieckich« w Poznaniu i pyta: czy chcą przyłożyć ręki do tego, żeby sami następnymi stali się niewolnikami. Wierząc w zmysł

polityczny ludności niemieckiej, *Posener Zeitung* wyraża nadzieję, że nie będzie ona dopomagała »bractwu temu (H. K. T.) i jego junkierskim zachciankom«.

= *Warszawskij Dniownik* znalazł wreszcie winowajców

„przywłaszczających sobie smutną rolę przeciwdziałania wszelkimi sposobami tym pomyślnym objawom usposobienia pojednawczego, które w ostatnich czasach zaczęły się okazywać w nastroju polskiej opinii publicznej“.

Zawiniły tygodniki tem, że nie podały wiadomości o pobyciu cara w Paryżu. Jeżeli *Dniownik* upatruje w zachowaniu się tygodników tendencję uporczywą, którą nie wie, »jakim terminem określić«, to z wątpliwością zarazem powinien o nastroju pojednawczym społeczeństwa polskiego, bo jak sam zaznacza, żadnych wiadomości nie dały pisma, przedstawiające rozmaite kierunki opinii publicznej. Ale o co innego zapewne tu chodzi. Pisma codzienne muszą podawać podobne wiadomości, *Dniownik* chce więc, żeby cenzura i tygodniki do tego zmusiła. Wtedy śmiało będzie mógł rozprawiać o *primiritielnom nastrojejni* całego społeczeństwa bez wyjątków.

= *Czas i Dziennik Poznański* zamieściły streszczenie artykułu z *Osservatore cattolico* w sprawie wprowadzenia języka rosyjskiego do nabożeństwa katolickiego na Litwie. Artykuł ten, który pisma nasze nazywają »bardzo poważnym i na doskonałych informacjach opartym« podaje te same argumenty, które przytoczyliśmy dawniej w *Przeглядzie Wszepolskim* przeciw projektowi wprowadzenia języka białoruskiego. Dla czytelników naszych nową będzie tylko wiadomość, którą za *Osservatore cattolico* powtarza *Dziennik Poznański*:

„Dalej wspomina autor o sprawie egzaminów z rosyjskiego i inspektorów rządowych świeckich w seminarjach duchownych katolickich. Wprowadzenie ich było rzeczą zdecydowaną — lecz wskutek układów, nawiązanych z Kuryą rzymską, rząd nie spieszył się z mianowaniem tych inspektorów, nie chcąc w tej chwili rozdrażniać stosunków. Tak stały rzeczy w czasie koronacji carskiej; zaledwie przebrzmiały uroczystości, rząd odmówił potwierdzenia stu nowo wyświęconym księżom, przy których egzaminie nie było inspektorów rządowych“.

Z OBCEGO ŚWIATA.

Anglia i Rosya. Podczas pobytu Mikołaja II w Anglii zarówno sfery urzędowe, jak i publiczność zachowywały się bardzo uprzejmie, ale dosyć chłodno. Myśl jednak porozumienia się Anglii z Rosyą zyskała wielu zwolenników zwłaszcza wśród tych, którzy, oburzeni barbarzyństwem tureckim, chcieliby stanowczo, raz na zawsze kres mu położyć.

Przywódca stronnictwa liberalnego, b. minister lord Rosebery różni się w poglądach na sprawy tureckie i na pożądany kierunek polityki zagranicznej angielskiej zarówno z Gladstonem, jak i z wielu wybitnymi przedstawicielami swego obozu. Postanowił więc złożyć przewodnictwo i w mowie, którą wygłosił z tego powodu, znakomicie określił wartość tej polityki, która zaleca rządowi angielskiemu porozumienie się z Rosyą w sprawie wschodniej:

„Inna polityka, o ile ją mogę zrozumieć, polega na tem, byśmy oddali Rosy Dardanele, a nawet zarząd całego państwa otomańskiego. Muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że ani Dardanele ani Turcyja nie są naszą własnością. Jest to wprawdzie ulubiona w niektórych kołach polityka, by oddawać drugiemu, to czego się nie posiada, ale, o ile wiem, takiego rodzaju polityka nie jest łatwą teraz, w dzisiejszym stanie Europy, a potem jest ona, w mojem prze-

konaniu, także niebardzo skuteczną. Ostatni gabinet (to jest Rosebery'ego) starał się o *modus vivendi* z Rosyą, i dziś jeszcze wyrażam nadzieję, że Anglia dojdzie do takiego porozumienia. Ale gdy niektórzy żądają, byśmy oddali Rosyi różne prowincye i kraje, muszę tu zrobić jeszcze jedną uwagę. Nie jest to moim zwyczajem krytykować wewnętrzne urządzenia innych krajów cywilizowanych; taka krytyka jest raczej narowem tych panów, którzy dziś oddają Rosyi nawet to, do czego nie mają prawa. Co do mnie, to uważam, że każdy kraj ma taki rząd, na jaki zasługuje, ale umię mogą się zgodzić na to, aby w Anglii zawsze panowała namiętność zachwycania się rządami rosyjskimi do tego stopnia, żeby je aż rozszerzać we wszystkich częściach świata. Wszak nawet niedawno — i to mi dowodzi, że zmieniamy się strasznie szybko — umieliśmy krytykować rządy rosyjskie wobec Polaków, względem żydów i względem protestantów. Dziś nie mam zamiaru wchodzić w ocenę tej krytyki, gdyż, jak już powiedziałem, krytyka taka nie jest moją specjalnością, ale chcę by panowie ci, którzy rozszerzenie rządów rosyjskich za cel i oś swej polityki wzięli, zastanowili się nad tem i przypomnieli sobie te fakty...*

Wrażenie, które wywarła mowa Rosebery'ego było olkrymnie. Wszystkie poważne pisma liberalne zgadzają się na jego poglądy, tylko agitatorzy anty-tureccy, którzy wymyślili sobie sojusz z Rosyą, jako najłatwiejsze rozstrzygnięcie kwestyi, napadają na byłego przewodcę stronnictwa. Bo istotnie nielitościwie ich dotknął, mówiąc, że są rady ludzi poczytalnych i rozumnych, a jednak złe, (polityka Gladstone'a) i są rady szalone, wygłaszane przez ludzi niepoctyjalnych, którzy nie wiedzą, czego chcą*.

KRONIKA.

— Prezes regencyi bydgoskiej znany Tiedemann, polecił organom podwładnym, żeby w najkrótszym czasie wprowadziły z mianę pisowni nazw miejscowych, mających brzmienie polskie. Zamiast *ę* rozkazano pisać urzędem *on*, a zamiast *ę* — *en*. Gmina Kędzierzyn natychmiast odwołała się do ministra, ale odpowiedzi nie otrzymała.

— Z Wiednia nadeszła odpowiedź na memoriał Rusinów w ręczony cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Odpowiedź zaznacza, że dochodzenie nie wykryło „systematycznego, na wskazówkach z góry opierającego się ukrócenia praw konstytucyjnych“, nie przeczy jednak, że tu i ówdzie „okazały się nieprawidłowości, popełnione przez poszczególnych funkcyjaryuszów“. Na przyszłość „wydane będą potrzebne zarządzenia, żeby zapewnić zgodne z przepisami postępowanie przy wyborach“.

— Pisma zagraniczne podają wiadomość, że prawdopodobnym następcą Szuwałowa, jeżeli ten zdrowia nie odzyska, ma być Goremykin, generał-gubernator wschodniej Syberyi. Jeden z dzienników wiedeńskich zapewnia, że generał-gubernatorem czy też namiestnikiem w Warszawie zostanie W. ks. Mikołaj Mikołajewicz.

— Z rozkazu gabinetowego cesarza Wilhelma rekruci z prowincyi wschodnich Prus „władający wyłącznie lub przeważnie językiem polskim, wysłani zostaną do pułków, stojących załogą w prowincyach czysto-niemieckich“. Środek ten, wymyślony przez Bismarka, za rządów Capriego nie był wykonywany. Teraz widocznie wraca „kurs stary“.

— W Paryżu przed przyjazdem cara urządono „wielki koncert muzyki rosyjskiej“. Wirtuozem, przedstawiającym Paryżanom sztukę rosyjską był p. St. Barcewicz, delegat oficjalny konserwatorium warszawskiego, który grał dzieła takich rosyj-

skich autorów, jak Wieniawski, Kątski, Cezar Cui (Polak, mieszkający w Petersburgu) i Paderewski. Francuzom bardzo się podobali ci rosyjsey, z łaski p. Barcewicza, kompozytorowie.

— Straty wskutek pożarów wynoszą w Galicyi przeciętnie około 5 milionów (4.898.000) rocznie. Towarzystwa ubezpieczeń wynagradzają 32% strat (od 20 do 45%). Kraj nie może się doczekać przymusowej asekuracyi, bo posłowie wpływowi mają udziały i synekury w towarzystwach ubezpieczeń.

— *Standard* angielski, opierając się zapewne na relacyach pism hakatystowskich pomieścił wiadomość o „poważnych rozruchach w Polsce pruskiej, które doprowadziły do rozlewu krwi“.

— *Kraj* donosi, że zaprowadzenie instytucyi samorządu ziemskiego na Litwie jest w zasadzie postanowieniem.

— Ludność m. Warszawy wynosiła na początku r. b. 553.643 osób, mianowicie mężczyzn 263.381 i kobiet 290.262. Z dodatkiem wojska w liczbie 37.332 było w Warszawie 590.975 mieszkańców.

— Rosya zaciąga nową pożyczkę we Francyi w kwocie 1200 milionów franków.

— W seminariach prawosławnych na Litwie i Rusi zaprowadzono krytyczno-polemiczny wykład głównych zasad religii katolickiej w celu przygotowania specjalistów, którzy by nawracali na prawosławie katolików.

— Mieszkańców powiatu sremskiego, którzy podezas przejazdu arcybiskupa Stablewskiego wywiesili chorągwie czerwono-białe skazano na 30 marek kary każdego. Izba karna, do której skazani się odwołali, wyrok zatwierdziła na tej zasadzie, że barwy prowincjonalne powinny być karmazynowo-białe, t. j. takie właśnie, jak barwy narodowe polskie!

— W szkołach handlowych w Warszawie ma być wykładany język hiszpański. Ze względu na kolonie polskie w Brazylii potrzebniejszy byłby może język portugalski.

— Radykalni poeci francusey Clovis Hugues i Jean Sever uciecili także wierszami cara, tylko dla zachowania pozorów przyzwoitości rewolucyjnej błagają go, żeby pokochał wolność i ułaskawił skazanych i wygnaneów.

— Na zjeździe nauczycielskim w Żłotnikach nauczyciel Hoffmann miał próbny wykład niemiecki o jabłku, dla dzieci, które po niemiecku nie rozumieją. Dla objaśnienia zdania. *Der Apfel schmeckt gut* musiały dzieci po kolei nadgryźć jabłko.

— *Kattowitzer Zeitung* doniosła, że ks. Żyłła w Lipuszu na licznem zebraniu w domu prywatnym powiedział: „Dosyć palcem kiwnąć, a polskie państwo znowu będzie“, a kiedy ktoś z obecnych Niemców zauważył, że Polacy przysięgali przecie cesarzowi, ksiądz odpowiedział, że „przysięga państwowa jest rzeczą formalną i złamanie jej nie może być uważane za krzywoprzysięstwo“. Ks. Żyłła nagabywany o wyjaśnienie, odpowiedział krótko i węzłowato, że nie o tej sprawie nie wie.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych prenumeratorów naszych, którzy dotychczas nie wnieśli przedpłaty za drugie półrocze, upraszamy o jak najśpieszniejsze przesłanie należytości.

TREŚĆ: Wyzwalanie się ludu. — Nasz szowinizm. nap. B. O. — Z całej Polski, nap. J. L. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa, Lublin). — Z zaboru pruskiego (Poznań, z Prus Zachodnich). — Z Galicyi (Lwów). — Z kresów (Górny Śląsk). — Z wychodźstwa i kolonij. — Przegląd prasy, — Z obcego świata. — Kronika bieżąca.